

RODZINA

TYGODNIK

NR 7 (345) ROK VIII. WARSZAWA 12.II.1967 CENA ZŁ 2

KATOLICKI



DELEGACJA KOŚCIELNA W SUDANIE

Na zaproszenie rządu sudańskiego udała się do Sudanu delegacja Ogólnoafrykańskiej Konferencji Kościołów, aby zbadać możliwość przywrócenia normalnych, pokojowych stosunków w pół Sudanie, skąd — jak wiadomo — uciekło podczas trwających tam zamieszek tysiące ludzi do Ugandy, Kenii, Abisynii, Konga. W delegacji wzięli udział: Sir Francis Ibiem, jeden z przewodniczących Ekumenicznej Rady Kościołów, doradca rządu wojskowego we wschodniej Nigerii i poprzedni gubernator tej prowincji, pastor — J. Gatu (Kenia), generalny sekretarz Kościoła prezbiteriańskiego w Afryce wsch. pastor Swailem Sidhom (Abisynia), docent Kolegium Teologicznego św. Pawła w Limuru, oraz S.H. Amissah, generalny sekretarz Ogólnoafrykańskiej Konferencji Kościołów...

Delegacja przeprowadziła rozmowy w stolicy, w miastach prowincjonalnych i we wsiach z przedstawicielami rządu i kościołów. Przed opuszczeniem kraju złożyła na ręce premiera Sadik El Mahdi swoje wnioski, które m.in. zalecały — dopuszczenie do rządu przedstawicielstwa Sudanu pld, zagwarantowanie wolności religii, przywrócenie porządku, cofnięcie zakazu udzielania wszelkiej pomocy z zagranicy miejscowym Kościołom.

Podczas ostatniej narady w New Delhi, w której wzięli udział przedstawiciele rządu hinduskiego, ONZ do spraw rolnictwa i wyżywienia, fundacji Rockefellera, organizacji katolickich, protestanckich i innych organizacji dobroczynnych, postulowano, aby „Akcja” koordynowała wszystkie sprawy podejmowane w celu niesienia pomocy rolnictwu Indii ze strony organizacji religijnych.

Ze strony Światowej Rady Ekumenicznej w naradach brał udział dr Charles Arbutnot, dyrektor działu pomocy, jego sekretarz dla problemów Azji pastor Jackson i O.P. Verghese.

AFRYKAŃSCY PASTORZY W SZWAJCARII

Na prośbę Rady Ekumenicznej — Dzieła Pomocy ewangelickich kościołów Szwajcarii zaprasza 12—15 pastorów afrykańskich, którzy spędzili na swych placówkach 10 lat. Będzie to dla nich wypoczynek i odświeżenie duchowe. Pastorzy uczestniczyć będą we wspólnym kursie duszpastersko-teologicznym, a następnie w ciągu 10 mies. pracować będą w gminach protestanckich.

KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI A ROZWODY

Bp anglikański Southwark (Londyn) dr Mervyn Stockwood wystąpił z ostrą krytyką zbyt liberalnego stanowiska anglikanów wobec rozluźnienia obyczajów i kwestii rozwodów. Biskup wypowiedział się zdecydowanie przeciw ułatwianiu rozwodów. Byłoby bardziej wskazane — oświadczył — zawierać małżeństwa z mniejszą beztróską jak dotąd.

WOBEC CHIŃCZYKÓW W INDONEZJI

Komisja Indonezyjskiej Rady Kościołów zwróciła się do rządu indonezyjskiego z prośbą, aby administracja wyraźnie odróżniała Chińczyków od obywateli pochodzenia chińskiego. „W stosunku do Chińczyków, którzy żyją w Indonezji należy prowadzić politykę humanitarną uwzględniając jednak interesy narodowe”. „Komisja sądzi, że trzeba położyć natychmiast kres gospodarstwu przodownictwu Chińczyków. Nie chodzi tu bynajmniej o względy rasowe — podkreśla Komisja, ale o „problem społeczno-gospodarczy”.

Rada wyraziła wdzięczność za unormowanie stosunków z Malajazją oraz zaapelowała o pokój w Wietnamie. Problem wietnamski należy pozostawić do rozwiązania samym Wietnamczykom — sądzi Rada indonezyjska.

ROZMOWY UNIJNE KOŚCIOŁÓW W AUSTRALII

Anglikański prymas Australii, arcybiskup Filip Strong z Brisbane, zwrócił się do Kościołów prezbiteriańskiego, metodystycznego i kongregacyjnego o dopuszczenie Kościoła anglikańskiego do rozmów na temat unii Ko-

ściołów. Przypuszcza się, że Kościół anglikański na razie zostanie dopuszczony bez prawa decydującego głosu. Powodem takiego stanowiska jest fakt, że rozmowy między wspomnianymi Kościołami (na temat zjednoczenia) są już tak daleko zaawansowane, że wkrótce dojdzie do zjednoczenia i pełnoprawny udział przedstawicieli Kościoła anglikańskiego mogłyby przewlec dyskusje.

Rozmowy między Kościołami prezbiteriańskim, metodystycznym i kongregacyjnym zostały podjęte przed dziesięć laty. Zjednoczony Kościół, który ma się z unii wyłonić, będzie kościołem biskupim (dotychczas prezbiterianie nie posiadają biskupów, tylko kapłanów). Nawiązano już rozmowy z Kościołem pld. Indii i biskupi tamtego Kościoła mają wyświęcić nowych biskupów dla zapewnienia ciągłości apostołskiej.

PROCES BEATYFIKACYJNY O. M. KOLBE

W dniu 16 marca odbędzie się posiedzenie komisji papieskiej dla zbadania sprawy beatyfikacji (czyli zaliczenia w poczet błogosławionych) O. M. Kolbe.

Jak wiadomo O. Kolbe zginął w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, oddając dobrowolnie swoje życie za skazanego na śmierć współwięźnia Franciszka Gajowniczka. Gajowniczka przeżył obóz i powrócił do swej rodzinie.

CHRZEŚCIJANIE I ŻYDZI

Dialog między chrześcijanami i Żydami w USA jest tak dalece zaawansowany — zdaniem uczonych żydowskich — że po wymianie poglądów na sprawy łączące obie religie, można już z pełnym zaufaniem mówić o sprawach dzielących je. Na zebraniu amerykańskiego Zjednoczenia Religijnego do spraw wychowania w Chicago rabin Irving Greenberg (N. York) przestrzegł chrześcijan przed zbytimi ustępstwami na rzecz niewiernych i religii niechrześcijańskich.

ŻYCIE SEKSUALNE I MORALNOŚĆ

W 1964 r. Brytyjska Rada Kościołów powołała Komisję z duchownych, lekarzy, pedagogów i in. która miała opracować zaganienie czystości przedmałżeńskiej i wierności małżeńskiej z punktu widzenia zasad moralności. Na czele Komisji stał profesor Metodystów Kenneth Greet. Opracowanie, które wspomniana Komisja przedłożyła po dwóch latach, wywołało poważną różnicę zdań. Kościół anglikański i szereg Kościołów protestanckich wypowiada się zdecydowanie przeciw przedłożonemu opracowaniu i domaga się odrzucenia zawartych w nim sformułowań.

MODLITWY O JEDNOŚĆ CHRZEŚCIJAN

W dniach 18—25 stycznia odbył się „tydzień” modłów o jedność wśród chrześcijan. Tematem „tygodnia” jest — nadzieja chrześcijańska którą zapowiada św. Paweł (Ef. 4, 4): „...powołanie wasze przyniosło wam jedną jedyną nadzieję”.

SPRAWIEDLIWOŚĆ W ZANZIBARZE

Ustanowienie sądów specjalnych w Zanzibarze dla spraw politycznych i bezpieczeństwa państwa spotkało się z ostrą krytyką ze strony ukazującego się w Tanzanii miesięcznika chrześcijańskiego „Target”. Stworzenie sądów specjalnych, zdaniem miesięcznika, pozostaje w sprzeczności z elementarnymi pojęciami prawa, ponieważ wiceprezydent Tanzanii może mianować sędziów nie mających prawniczego przygotowania, a oskarżeni są pozbawieni obrońcy prawnego. Sprawę pogarsza fakt, że rozprawy mają być tajne. Sąd specjal-

ny może ferować nawet wyroki śmierci.

Rozważania redakcji „Target” kończy uwaga:

„Sądzimy, że tego rodzaju przedsięwzięcia szkodzą dobremu imieniu Tanzanii jako republiki związkowej. Występujemy w obronie podstawowych zasad prawa ludzkiego i wolności, które jednocześnie w jednej części republiki są brutalnie deptane. Rząd Tanzanii musi rozstrzygnąć, czy ma tolerować tego rodzaju nadużycia w kraju, który jest z nią w unii”.

PROBLEM ŻYWNOSCI I ROZWOJU ROLNICTWA

Rozwój gospodarczy należy do tych problemów, którym Rada Ekumeniczna w przyszłości musi poświęcić o wiele więcej uwagi niż dotychczas — oświadczył sekretarz generalny Rady dr E. Carson Blake w piśmie do dr B.R. Suna, generalnego dyrektora Organizacji NZ do spraw wyżywienia i rolnictwa (FAO). Bezpośrednio po wyborze dr Blake na generalnego sekretarza Rady, dr Sun przesłał gratulacje, przy okazji zaś podkreślił wkład kościołów w kampanię prowadzoną przez FAO przeciwko głodowi i dla zapewnienia sprawiedliwości i równouprawnienia wszystkich ludzi. Dr Sun zwrócił uwagę, że Rada Ekumeniczna oddałaby poważne usługi całej ludzkości, gdyby zwracała większą uwagę

na konieczność planowania życia rodzinnego i społecznego. „Zadna cywilizacja nie może, nie jest w stanie respektować wolności i godności jednostek — pisał dr Sun — jeżeli toleruje trwały stan nędzy mas”.

Dr Blake, nawiązując do memoriału, który podnosi konieczność czterokrotnego zwiększenia stanu żywności w ciągu najbliższych trzydziestu lat, oświadczył, że „Kościoły muszą stale podkreślać, że środki żywności są darem Bożym przeznaczonym dla wszystkich dzieci”. Zaopatrzenie w żywność musi być tak uregulowane w skali światowej, aby narody produkujące oddawały odpowiednią część innym narodom, które nie dysponują takimi zapasami”.

„Akcja dla rozwoju produkcji żywności” — jako komórka koordynująca działalność niesienia pomocy dla Indii ze strony organizacji katolickich, protestanckich i innych niewyznaniowych została — zgodnie z przepisami prawa krajowego — wpisana do rejestrów i uzyskała osobowość prawną jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. „Akcja dla rozwoju produkcji żywności” koordynuje zagadnienia pomocy technicznej, udziela odpowiednich informacji, konsultuje z władzami sprawy importu, projekty służące rozwojowi rolnictwa, jego mechanizacji itp.

RADA DIECEZJALNA

Ordynariusz Quebec (Kanada) kardynał Roy mianował radę diecezjalną złożoną z 5 osób świeckich. Rada zajmie się przede wszystkim sprawami finansowymi diecezji.

POMOC DLA INDII

„Akcja dla rozwoju produkcji żywności” — jako komórka koordynująca działalność niesienia

Na okładce: „Pojmanie Chrystusa” — płaskorzeźba z XV wieku stanowiąca kwatere ołtarza z kościoła Mariackiego w Krakowie. (Ołtarz wykonany został przez Wita Stwosza w latach 1477—1489).

Fot. Henryk Romanowski

KUSZENIE CZŁOWIEKA

EWANGELIA

WEDŁUG ŚW. ŁUKASZA (8, 4, 4—15)

Onego czasu: Gdy zgromadziła się rzesza wielka i z miast zdążali do Niego, mówił w przypowieści: Wyszedł siewca rozsiewać ziarna swoje. A gdy siał, jedno padło przy drodze. I zdeptane jest, a ptaki niebieskie wydziobały je. A drugie padło na grunt skalisty, a wzeszedłszy uschło, gdyż nie miało wilgoci. A inne padło między ciernie, a ciernie wzrosły wespół z nim i przygłuszyły je. A inne padło na ziemię, a urodzajną i gdy wzrosło, wydało plon stokrotny. To mówiąc, wołał: Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha. Pytali Go tedy uczniowie Jego, co by to była za przypowieść. A On im rzekł: Wam dane jest poznać tajemnicę królestwa Bożego, innym zaś przez przypowieść, aby „patrzyli, a nie ujrzeli i usłyszeli, a nie zrozumieli”. Taką zaś jest przypowieść: Ziarnem jest słowo Boże. Przy drodze są ci słuchacze, do których potem przychodzi szatan i porywa słowo z serca ich, aby uwierzywszy, nie byli snadź zbawieni. A na gruncie skalistym są ci, którzy posłyszawszy, z radością przyjmują słowo. Ale ci korzenia nie mają, wierzą do czasu, a w chwili próby ustępują. To znowu, które padło między ciernie, oznacza tych, którzy posłyszeli, ale odchodząc, przez troski, bogactwa i rozkosze życia są przygłuszeni i nie przynoszą owocu. Które jednak upadło na ziemię dobrą, oznacza tych, którzy w dobrym i szczerym sercu zachowują słowo i owoc przynoszą w wytrwałości.



edwie przebrzmiały radosne koledy, ledwie skończył się wesoly karnawał, a już znowu szaty liturgiczne w naszych świątyniach zabarwiły się pokutnym fioletem.

Na głowy przepełnione karnawałowymi śpiewami i rytmem tanecznych melodii posypał się popiół święcony, a kapłan w imieniu Kościoła przypominał starym i młodym: „Pamiętaj człowiecze, żeś z prochu powstał i w proch się obrócisz” (Rodz. 3, 19), „Pamiętaj, że życie twoje jak powiew wiatru — krótkie” (Job. 7, 7).

Rozpoczął się znowu okres pokuty, okres umartwienia, okres powagi i zastanowienia, okres poświęcony rozważaniom Tajemnic Odkupienia, okres czuwania i modlitwy, okres Wielkiego Postu.

Wielki Post!

Wielki, bo trwa aż czterdzieści dni, wielki, bo wielkich i ważnych dotyczy tajemnic, wielki także, bo jest wielką liturgiczną pamiątką, pamiątką wielkiego w dziejach Objawienia wydarzenia: czterdziestodniowego postu Chrystusa.

Działo się to w pierwszych miesiącach roku trzydziestego. Chrystus wrócił znad Jordanu, gdzie dał się ochrzcić. Był pełen Ducha Świętego. Jest na pustyni (Mt. 4, 1). Nagle zbocza postrzępionych wichrami skał, cisza, wielka, niczym nieskrępowana samotność stwarzały aż nazbyt pomyślne warunki, aby się oddać rozmyśleniom i rozmowie z Bogiem Ojcem.

Dwie pary oczu patrzą na Boga Człowieka poszczącego i modlącego się w okolicy Jerycha: oczy Boże i oczy szatana. Bóg miłością przejęty ku człowiekowi, stworzonemu na Jego obraz i podobieństwo oczekuje chwili, gdy Syn Jego rozpocznie swe ziemskie posłannictwo, gdy o Bogu ludziom pocnie mówić i kłaść pomost między grzesznym człowiekiem a obrażonym Bogiem. Przecież to On „tak umiłował świat, że Syna swego dał, aby świat był przez niego zbawiony” (J. 3, 16) i Jego wyjątkowa miłość to sprawiła, że ma się rozpocząć zbawienie świata (Ef. 2, 4). Dlatego patrzy Bóg na Syna swego sposobiącego się do wielkiej dziejowej misji zbawienia świata.

Szatan również zdaje sobie sprawę, że posłannictwo Chrystusa umniejszy jego wpływ. Wie, że Jezus pójdzie głosić pokutę, pójdzie lud nauczać miłości, pójdzie karmić głodnie rzesze chlebem Dobrej Nowiny. Jest zaniepokojony. Nie chce się zgodzić, by Galilejczyk wyrwał z jego szpon zdobycz, którą od rajszych, zamierzających trzymać czasów. Pragnie zniszczyć, zniweczyć Jego zamysły, albo przynajmniej obniżyć wartość Jego posłannictwa. Chce być Mesjaszem? — niech będzie, ale trzeba zacieśnić granice Jego działania: niech będzie Mesjaszem czysto ziemskim, takim jakim go wyobrażała współczesna żydowska myśl narodowa, takim, jakim go malowały tradycje oparte o wybujałą apokaliptykę. Dlatego postanawia rzucić Chrystusowi potrójne sugestie: dostatek, próżną błyskotliwość i ziemskie, doczesne panowanie. Przecież post 40-dniowy osłabił Chrystusa, może więc ulegnie. Chociażby w jednej rzeczy... może...

Szatan wazy się na krok decydujący i przystępuje do Chrystusa: „I przystąpiwszy kusiciel rzekł mu: jeśliś Ty jest Synem Bożym, rzecz, aby te kamienie chlebem się stały” (Mat. 4, 3), a następnie druga i trzecia pokusa.

Scena kuszenia, opowiedziana w dzisiejszej ewangelii ma dla nas znaczenie indywidualne. Szatan na Chrystusie kuszenia nie skończył. Jeżeli walczył o idee, to będzie toczył bój także o wykonawców tych idei. Jeżeli, jak powiada św. Augustyn, tam walczył z wodzem, to tu z każdym poszczególnie żołnierzem jego, ale dodaje ten święty: w tym celu walczył wódz, by żołnierze się kształcili, do walki się zagrzewali, by wzorem wodza zdołali odnieść zwycięstwo.

Barbarzyństwem byłoby wyobrażać szatana na wzór średniowieczny, z rogami, końskim kopytem i ogonem. Szatan to duch sprzeciwu, oporu, i przeciwstawienia się nakazom Dekalogii oraz normom Ewangelii. Taki szatan jest u nas, a swe działanie uzewnętrznia w sprzecznych z etyką czynach. Potrafi jak Chrystus kusić także współczesnego człowieka. Ma swoje sposoby i niczego nie zaniedba, byle celu dopiąć. Jednego w okoliczności grzeszne, jak w sidła wpędzi, w drugim na-

miętność zbuntuje i wzmocni, jeszcze innemu myśl bluźnierczą do głowy kłaść będzie, a innego znowu czarną nawiedza rozpaczą. W jednym żądze zmysłowe jak ogień rozdmucha, drugiemu wabiące złoto, dostatek, pieniądze pokaże, jeszcze innemu pysznić się każe. I niestety... niestety, człowiek ulega tym pokusom. Nasze codzienne, a przynajmniej od czasu do czasu przeprowadzane rachunki sumienia przekonują nas o tym. Masa zła i nawała nieprawości wszelkiej, która nas otacza, pozostając w jaskrawej sprzeczności z Bożymi przykazaniem jest dowodem udanych pokus i zasadek ducha sprzeciwu. Czy to o czym czytamy i na co narzekają całymi dniami ludzie, co oplakują matczyne oczy i co powoduje zaciskanie pięści i zębów u mężczyzn — czy to wszystko co określamy złem współczesnego wieku, a więc zdrady stanu, wojny, ludobójstwo, segregacja rasowa i wiele innych nie jest triumfalnym osiągnięciem ducha sprzeciwu wobec Dekalogii i Ewangelii?

Nie grzeszy człowiek, ani indywidualnie, ani zbiorowo, dlatego by grzeszyć, lecz myli się w wyborze dobra.

Chrystus się jednak nie pomylił: i pokusy w porę odrzucił i misję swoją spełnił.

Nam też mylić się nie można. Uczmy się od Jezusa jak zwyciężać nie tylko tę potrójną, ale wszelkiego rodzaju pożydlivość i zło wszelkie. Musimy okazać się zwycięzcami. „Czuwajcie i módlcie się” — powiedział Chrystus. On wiedział doskonale, jak wielką usługę oddadzą te słowa temu, kto ich słucha, w sercu chowa, dla kogo są dewizą życia. Należy czuwać i należy się modlić. Dlatego, gdy kłękamy co dzień do pacierza, co dzień powtarzamy prośbę, której sam Zbawiciel nas nauczył: „A wy gdy się modlić będziecie, tak mówcie: Ojciec nasz... i nie wódz nas na pokuszenie” (Mat. 6).

Wiele się pisze i mówi dziś o zwycięstwach ducha ludzkiego nad siłami przyrody. Istotnie są one zdumiewające, wprost nieprawdopodobne niekiedy. A jednak jest dziedzina, w której potęga przyrody nie została pokonana — jest nią natura człowieka. Natura, w której tkwią zalążki dobra i zła. Rzecz w tym, aby dobro zwyciężyło zło.

Zadaniem Wielkiego Postu jest przypomnieć tę sprawę człowiekowi. To zadanie musi być wykonane, by móc uniknąć smutnych niepowodzeń i żalosnych konfliktów ze sobą i z Bogiem.

Ks. M.P.

L U T Y

N	12	Juliana, Modesta
P	13	Grzegorza, Katarzyny
W	14	Zenona, Walentego
S	15	Józefa, Faustyna
C.	16	Danuty, Julianny
P	17	Juliana, Łukasza
S	18	Symeona, Konstancji



O TAJEMNICACH METEOROLOGII

mówi profesor Munteanu

Zakładam z całą stanowczością, że wśród Czytelników „Rodziny” nie ma ani jednego, który by nie wiedział kto to jest „Wichererek”. Mało kto wie jednak, że za popularnym „Wicherkiem” stoi magister Lityński, stoi Państwowy Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny, a więc poważna placówka naukowa, dzięki której rolnicy i nie tylko rolnicy mogą się dowiedzieć jaka będzie pogoda.

Takiego „Wicherka” ma każdy kraj europejski. Niektóre kraje mają ich po kilku (Szwajcaria, Szwecja lub Norwegia). Są to kraje reprezentujące jednocześnie kilka klimatów, czy kilkanaście mikroklimatów.

Pan profesor Robert Munteanu, który od lat 40 prowadzi katedrę meteorologii na uniwersytecie w Cambridge jest niewątpliwie jednym z czołowych „Wicherków” Europy, a może i świata. Rozmawiając z nim dowiadujemy się o wielu interesujących sprawach. Wprawdzie „rozmowa o pogodzie” — to synonim rozmowy o niczym.

No... tak! ale ci, co rozmawiają o pogodzie, nie mają innego tematu, a i o pogodzie nie mają nic do powiedzenia, gdy tymczasem profesor Munteanu...

— Oczywiście chciałaby pani dowiedzieć się dlaczego nie sprawdzają się prognozy długoterminowe, a często krótkoterminowe, bo o to od kilku lat już pytają dziennikarze wszystkich meteorologów. No, cóż? Zjawiska atmosferyczne rodzą się na całym świecie, przebiegają setki tysięcy kilometrów, gdzie się również kończą i są obserwowane przez nas, meteorologów, a my wyciągamy z nich wnioski. Rzecz jasna, że wnioski byłyby stokroć trafniejsze, gdyby opierały się na większej liczbie informacji i obserwacji, gdyby zjawiska te były obserwowane od początku do końca. Tymczasem cztery piąte kuli ziemskiej nie bierze żadnego udziału w tych obserwacjach. Nie prowadzi się nawet zapisów, z których by można korzystać.

— Może nie wszyscy potrzebują tych prognoz?

— Wręcz przeciwnie. Ci, co obserwacji nie prowadzą — potrzebują zarówno prognoz dłużej — jak i krótkoterminowych bardziej niż inni. Mam tu na myśli narody pasterskie i rolnicze, w krajach przez nie zamieszkiwanych od pogody zależy wszystko: zbiory ryżu czy paszy dla bydła, bananów czy pomarańczy, słowem istnienie setek tysięcy, a nieraz i milionów ludzi. A jednak te właśnie narody nie wiedzą nic o pogodzie, nie doceniają obserwacji meteorologicznych i... smutne z tego tytułu ponoszą konsekwencje.

— Na przykład — India. Wszelkie prace rolne, wszelkie zbiory w tym kraju wiecznie zagrożonym głodem, to sprawa pierwszorzędnej wagi!

— Często słyszy się o katastrofalnym działaniu cyklonów.

Czyż można im zapobiec?

— Nie jest wykluczone, że prędzej czy później zapanujemy nad takimi katastrofami jak cyklony. Na razie kontentujemy się tym, że potrafimy wykryć i zasygnalizować taką katastrofę. Od 1961 r za pomocą satelitów Ziemi i radaru wykryto 130 tajfunów na Oceanie Spokojnym, Indyjskim i huraganów na Atlantyku. Przewidzieć, wykryć, że się zbliża taka klęska jak tajfun czy cyklon, dać znać choć pół godziny wcześniej — to już jest dużo. A przecież cyklony są zapowiedane niekiedy o cały dzień naprzód!

— Jak się to dzieje?

— Codziennie płynie w świat 110 000 obserwacji z 8 000 stacji naziemnych, 3 000 samolotów i 4 000 statków. Ale jakież to może mieć znaczenie wobec wymiarów całego świata? Gdyby ta liczba punktów obserwacyjnych strzegła tylko samej Europy, to byłoby też za mało.

Poza tym wszystkie te punkty obserwacyjne są przeciążone pracą i odpowiedzialnością. Proszę sobie wyobrazić, że Essa I wyrzucona za pomocą satelity Tiros I okrąży Ziemię z szybkością 24 x godzin na dobę i bez przerwy przesyła fotografie atmosfery brane z orbity z szybkością 32 fotografii w ciągu trzech minut. Ta maszyna jest w stanie zatrudnić kilkuset ludzi! Radziecki satelita Kosmos 122 przesyła obrazy z szybkością trzykrotnie większą!

— A więc dojdziemy do tego, że będziemy mieli całokształt atmosfery sfotografowany?

— Może dojdziemy i do tego, że stan zatrudnienia w meteorologii zwiększy się kilkakrotnie, a sieć obserwatoriów powiększy się i zagęści kilkanaście razy.

— A tymczasem?

— A tymczasem musimy korzystać z wielu bardzo zawodnych sposobów przewidywania pogody, a więc np. z synoptyki porównawczej. Ponieważ w roku na przykład 1910 pogoda w pierwszym kwartale wyglądała identycznie — zakładamy, że w tym roku również może się ukształtować podobnie. Rzecz jasna, że cała tego typu synoptyka bierze w łeb, bo od półwiecza zmienił się obraz powierzchni kuli ziemskiej: przede wszystkim zmniejszyło się wprost tragicznie zalesienie w Europie środkowej, przez którą przeszli Niemcy, wycinając lasy w Polsce nie zastanawiali się, że spowoduje to zmianę klimatu i to zmianę na gorsze. Las jest, jak wiadomo, rezerwuarem wilgoci, a wilgoć reguluje stopień nasłonecznienia w lecie i temperaturę w zimie.

— O tym chyba wszyscy wiedzą? W Polsce zalesia się znacznie więcej, niż się wycina...

— Zalesiają wszystkie kraje, ale to co się robi dziś, to będzie miało znaczenie klimatyczne nie wcześniej niż za trzydzieści lat, kiedy zagajniki przemienią się w lasy, jakich klimat potrzebuje: liściasto-iglaste, o trzech przynajmniej formacjach roślinnych, a więc wysokiej (drzewnej), niższej (krzaczastej) i najniższej (runa leśnego). Taki las daje należyte korzyści gospodarcze i klimatyczne. To jest las, w którym są grzyby, jagody, zioła lecznicze i przemysłowe, las który wyżywi zwierzynę płową i potrafi ją ukryć, słowem las, który dziś widzi się tylko w formie... rezerwatu przyrody.

— Jakich przestrzeni zalesionych potrzebuje kula ziemska?

— Byłoby omyłką sądzić, że są wszędzie potrzebne jednakowe zalesienia. Są one potrzebne przede wszystkim w klimacie umiarkowanym. W klimacie podzwrotnikowym, są niezbędne w miejscach, z których zostały wyrugowane przez gospodarkę człowieka. Jakże są możliwości spowodowania zmian klimatycznych? — Kto tego może dokonać?

— Każdy obywatel kuli ziemskiej powinien wziąć udział w tym dziele, bo każdy marznie, moknie, a co drugi głoduje lub jest niedożywiony. Uregulowanie klimatu zapewni światu znaczne zwiększenie żywności. Droga do tego wiedze przede wszystkim przez poszanowanie tego, co jest i stopniowe rozmnazanie stanu posiadania. Ostatnio dokonano dość ciekawej próby: trąbę morską na Oceanie Spokojnym zaatakował odrzutowiec, który poczynając od wysp Galapagos, „szatkował” ją ustawicznymi przelotami, aż runęła w Ocean, nie dochodząc do wysp Marschalla, ku którym dążyła. Koszt tej operacji przekroczył 200 000 dolarów, ale — któż może wiedzieć ile strat byłoby, gdyby ta trąba morska dotarła nad ląd stały?

Rozmawiała: JADWIGA PIECHOCKA

Ludzie z Jatribu

W drodze do Mekki pochód muzułmanów zabłądził w górach Akkaba. Gdy Mahomet, wspiąwszy się na szczyt skały i przesłoniwszy dłonią oczy, badał horyzont, ujrzał jadącą w jego stronę grupę konnych. Niebawem jeźdźcy zbliżyli się na odległość głosu. Było ich sześciu. Z zachowaniem wszelkiej ostrożności zaczęła się rozmowa.

Jeźdźcy oświadczyli, że są pielgrzymami z miasta Jatrib, odległego od Mekki o dwieście mil. Odwiedzili świątynie Kaaba i wiele słyszeli o Mahomecie i jego nauce. Byli oburzeni, że go tak potraktowało rodzinne miasto.

— Mahomet to ja! — krzyknął prorok. — Zbliżcie się ludzie. Znam Jatrib, byłem tam niejedyn raz w dawnych latach.

Nastąpiło serdeczne powitanie. Miasto Jatrib słynęło na całym Półwyspie Arabskim z pięknie wyrabianej broni i biżuterii.

Położone w urodzajnej oazie, niewiele za-
możnością ustępowało Mekce. Mieszkało w Jatribie kilka plemion arabskich przybyłych z Jemenu oraz dwa, czy trzy rody żydowskie. Między plemionami Arabów od dawna trwały kłótnie, ze szczególną zaciętością zwalczały się rody Aus i Hazradz, a wszyscy Arabowie zgodnie nienawidzili i zwalczały Żydów. Wysłuchawszy jatribitów, wygłosił do nich Mahomet jedno z najpiękniejszych swoich przemówień. Mówił o tym, jak doszedł do prawdy, że wszyscy ludzie są równi i powinni nawzajem się kochać i szanować, że tylko zgoda prowadzi do powodzenia w życiu i do raju po śmierci.

Jatribici niejednokrotnie słyszeli od Żydów, że ma się narodzić na świecie prorok, który zbawi ludzkość; teraz zachwyceni nabrali przekonania, iż tym zbawicielem-mesjaszem jest właśnie Mahomet.

— Prześladują cię w Mekce, więc przyjedź do nas — powiedzieli — zaprowadzisz na nowo porządek i zgodę...

Mahomet odrzekł, że zastanowi się jeszcze. Na razie wraca do Mekki, ale może nadejdzie czas, gdy skorzysta z ofiarowanej gościny. I pozdrowiwszy jatribitów serdecznie, ruszył w stronę Mekki.

Krótkie to było spotkanie, lecz — co niedaleka przyszłość pokaże — o wielkim znaczeniu dla sprawy islamu.

W Mekce tymczasem położenie muzułmanów nie przedstawiało się wcale tak dobrze, jak sądził Mahomet. Korejszyci ochłonęli szybko po niezwykłym postępku Omara i po przepowiedniach wygłaszanych w związku z dokumentem pożartym przez mrówki. Teraz, gdy prorok zamieszkał ponownie w swoim domu, zjawili się u niego władcy miasta i zażądali wręcz, aby zaprzestał wygłaszania kazań na rynku.

Ku zdziwieniu i oburzeniu wielu muzułmanów Mahomet zgodził się na to. Ta szyb-

ka zgoda zaskoczyła nawet samych Korejszytów. Przestali wierzyć w szczerść jego słów. Od owej chwili każdej nocy kręcili się pod domem Mahometa szpiedzy, gdy wychodził do miasta postępowali za nim krok w krok.

Wypatrzyli niebawem, iż wieczorami wy-
mykał się w przebraniu poza mury miejskie i tam, w okolicach odludnych, opodal dawno wyschniętych źródeł, spotykał się z jakimiś ludźmi. O czym rozmawiano? Tego szpiedzy nie potrafili powiedzieć. Nie wiedzieli również, w jakim celu wyjechał z Mekki jeden z najbliższych przyjaciół proroka, ów właśnie pozyskany dla Koranu były przemytnik Omar.

Kim byli ci nierozpoznani rozmówcy?

Nietrudno się domyślić, że byli wysłannikami miasta Jatrib.

Mahomet, rzecz prosta, poszedł na ustępstwa wobec swoich prześladowców tylko dlatego, że nie widział innego wyjścia. Po powrocie do Mekki zrozumiał od razu, iż upokorzenia i cierpienia muzułmanów wcale się nie skończą — przeciwnie, wybuchną ze zdwojoną siłą. Żeby odwlec ostateczną klęskę poszedł na ugodę — przestał przemawiać publicznie, a równocześnie zdecydował się skorzystać z gościny w Jatribie.

Gdy szpiedzy Korejszytów daremnie bieżdźli się nad zagadką tajemniczych spotkań. Omar, zręczny i wymowny wysłannik muzułmanów, zawierał w Jatribie doniosłą umowę z miejscowymi obywatelami. Układ tak brzmiał:

Mahomet zjedzie do Jatrib wraz ze wszystkimi muzułmanami i będzie tam spełniał rolę rozjemcy w sporach między poważnymi rodami arabskimi, a także między nimi a Żydami. Mieszkańcy podporządkują się prawu, które Mahomet ustanowi dla całej oazy Jatrib. W razie napadu z zewnątrz, Mahomet obejmie naczelne dowództwo — w miarę obrony wspólnego dobra. Ze swojej strony Mahomet przyrzeka wierność swoim gospodarzom. Jatrib stanie się jego ojczyzną i tu po śmierci spoczną jego prochy.

Treść tej umowy mówiła sama za siebie; ukazywała ogrom zaufania, jakim obdarzali proroka jatribici, zmęczeni nie kończącymi się kłótniami. Złośliwi szeptali wprawdzie, iż tyleż zależało jatribitom na żywym Mahomecie, co na... jego prochach, spodziewał się bowiem Jatrib wielkich zysków, które przyniosą kiedyś pielgrzymi odwiedzający grób proroka. Ale nawet gdyby ta ponura plotka była prawdą — i tak świadczy ona dobitnie o wielkości Mahometa!

Tak więc hidzra — to znaczy: masowa ucieczka muzułmanów lub, jeśli kto woli, emigracja — została postanowiona.

List do przyjaciela w USA

DROGI PRZYJACIELU

Zaledwie mój ostatni list znalazł się w skrzynce pocztowej, gdy otrzymałem reportaż z niemieckiej szkoły lotniczej w Fort Bliss. Raketenschule der Luftwaffe, lub jeśli wolisz w ojczystym języku twego kraju — German Air Defence School! Czarnoczerwono-złoty sztandar, nienagannie skrojone i wyprasowane mundury, Adler Bundeswehry (orzeł) na czapkach rwący się do lotu i „parademarszu” — twardy krok, którym można zdeptać pół Europy, i dżentelmen pułkownik dowódcą, dwójga imion — Hans (jak przodkowie!) Harald (ustępstwo na rzecz aliantów!) Gustke — z nieodstępną fajką w zębach — w sercu Północnej Ameryki!!!.

Niemieccy lotnicy przebywają w Stanach Zjednoczonych jako SPRZYMIERZENCY. Są grzeczni, układni, nie gwałcą, nie mordują, nie palą, nie wyrzucają mieszkańców z ich domów, nie rabują, nie łomocą kolbami we drzwi... Sami dżentelmeni! Jeśli który zapomni na chwilę, że przeznaczono mu rolę dżentelmena, natychmiast ciupasem odwożę go do Vaterlandu, a taki powrót nie jest radosny. Traci się przede wszystkim świetne uposażenie. Plutonowy, instruktor centrali telefonicznej, Seifert, zarabia tu 2542 marki, czyli prawie 640 dol. miesięcznie! Za taki kasek oplaci się być przez pewien czas dżentelmenem. Zresztą w sobotnie popołudnie, za rzeką Rio Grande del Norte w Ciudad Juarez na terytorium Meksyku można sobie nieco poszawolić. „O wyczynach zaoceanicznych gości — pisze reportażysta niemiecki — Meksykańczycy opowiadają już legendy. Kiedyś np. grupa Niemców ćwiczyła defiladowy krok na kontuarze baru...!! To tylko niewinny żart. Oni potrafią się lepiej bawić”! Znamy to i pamiętamy. Pułkownik Gustke mówi, że Niemcy przebywają w USA na mocy wojskowego porozumienia NATO i mają te same prawa, co wojska amerykańskie w Niemczech. Brzmi to jak potworna ironia. Za „prawo” pobytu w Niemczech wojska amerykańskie zapłaciły tysiącami mogił. Potwornie wielką danią krwi. Nie tylko zresztą wojska amerykańskie. Za ten pobyt zapłacili krwią wszyscy aliantci czasu drugiej wojny światowej. I dlatego m. in. wszyscy dawni aliantci mają prawo protestować przeciwko temu „zbrataniu”, którego obrazem jest Fort Bliss. Nie jest to tylko wewnętrzna sprawa USA.

Mam ponadto wątpliwości, czy przeciętny obywatel amerykański akceptuje sojusz z Bundeswehrą. Nie tylko przecież Polacy, nie tylko Czesi i Rosjanie, ale i Belgowie, i Szwedzi, i Francuzi, i Włosi co pewien czas zwracają uwagę na oznaki rewizjonizmu szerzącego się w NRF. Bundeswehra jest ostoją pruskich i hitlerowskich tradycji, które ani na jotę nie uległy zmianie. Oni konsekwentnie dążyć będą do wywołania nowej awantury w imię swoich interesów. W tę awanturę zechcą wrzucić swych sojuszników — Amerykanów. Nie wierzę, żeby naród amerykański tego pragnął. Nie wierzę, by chciał wysyłać swoich chłopców na pola bitewne dla poszerzenia niemieckiego „lebensraumu”. Ale jeśli faktycznie tego nie chce, powinien zagrozić drogę niemieckiej Luftwaffe do Fort Bliss, odebrać czym prędzej pana Gustkę i jego kompanów do Vaterlandu i przypomnieć komu należy, że nawet w polityce obowiązują zasady przyzwoitości.

A co Ty o tym sądzisz, drogi Przyjacielu z USA?

Twój Stach

M. AZEMBSKI



Gdy w rodzinie powstaje konflikt

Nad jednym z bocznych wejść gmachu Państwowego Towarzystwa Higienicznego w Warszawie, przy ul. Karowej, wisi tabliczka „Poradnia Przedmałżeńska i Rodzinna”. Wąski korytarz prowadzi do obszernej, jasnej sali. W wygodnych fotelikach młodzi ludzie, kobiety i mężczyźni pogrążeni w lekturze czasopism i broszur. Spokój, cisza. Ale odgłos kroków, czy dźwięk otwieranych drzwi przerywa nastrój spokojnego oczekiwania. Ręce machinalnie przerzucają trzymaną gazetę, niespokojny wzrok i nerwowe ruchy zdradzają głęboki niepokój, niecierpliwość — czy to już moja kolejka? czy to już ja? I można sobie wyobrazić jak mocno biją wówczas serca oczekujących tu ludzi. Ludzi najczęściej zawiedzionych, zdesperowanych, którzy przyszli tu po ratunek i pomoc wówczas, gdy zawiodły już wszystkie środki, gdy zrozumieli, że nie potrafią sami dociec źródła osobistej porażki, a którzy za wszelką cenę chcą bronić szczęścia rodzinnego. Przychodzi

dzy tymczasem informowali mnie brutalnie — idioto, ona ma faceta nie takiego jak ty — zapomnij. I starałem się zapomnieć. Minęło kilka miesięcy. Spotkałem ją przypadkowo w kawiarni. Czekala na kogoś. Nie wytrzymałem, podszedłem. Przyjęła mnie bardzo życzliwie, nawet radośnie. I od tamtego dnia zaczęło się moje wielkie szczęście i... nieszczęście. Bo ja myślałem, panie doktorze, że ta kobieta wyleczy mnie ze strasznego kalectwa. Więc oszukałem ją w nadziei, że moja miłość naprawdę głęboka spowoduje cud. Jesteśmy małżeństwem prawie już 2 lata. Ale ja, panie doktorze, od małżeństwa się nie nadaję. Kuracja u neurologa zawiodła. Ja ją kocham i wiem, że i ona mnie kocha bo gdyby nie, to dawno by odeszła. Ale obserwuję jej niepokój, jej oczekiwanie i boję się. Strasznie, obsesyjnie boję się. Czy jest jakiś ratunek — dramatyczne pytanie zawisa w próżni.

Minie jeszcze wiele miesięcy, wiele wizyt u lekarza, wiele rozmów, również z żoną, zanim zdesperowanemu, młodemu człowiekowi samo życie odpowie na męczące pytanie. Ale wyjdzie z tego gabinetu spokojniejszy, pełen wiary i nadziei, gdy usłyszy, że to tylko jeden z licznych, niestety, obecnie przypadków nerwic seksualnych, w większości uleczalnych. Przychodzą do poradni młode kobiety, matki, które z trwogą obserwują jak od lat rozpada się ich małżeństwo. Strudzone nietatwym życiem, pracą zawodową, troską o wychowanie dzieci, zaniedbane, przestały być już atrakcyjne dla swych mężów.

Mąż ciągle tłumaczył — konferencja, zebranie, delegacja. A ja wierzyłam. Robiłam wszystko, by w domu było czysto, dzieci dobrze się uczyły, pracowałam ile starczyło sił. A on ciągle — powinnaś zadbać o siebie, idź do dentysty. Nie było, niestety, na to czasu. Ja nigdy nie myślałam, że on to robi. Kobiety na ogół nie wytrzymują i wśród łez i szlochów pada to stare jak świat, a zawsze jednakowo tragiczne wyznanie — on po prostu ma inną. Co robić? Nie mogę dopuścić, by dzieci straciły ojca.

Przychodzą starzy, sterani rodzice ze skargą na wyrodne dzieci: dokąd byłam młoda i doglądałam ich dzieci, prałam, sprzątałam byłam dobra. O, jak trudno — proszę pana — skarżyć się na własną córkę. Reumatyzm powykrywał mi ręce, w głowie mam zamęt, do niczego już jestem. Wnuki dorosły, w mieszkaniu zrobiło się ciasno — ciężkie westchnienie starej kobiety i równie ciężkie lzy i prośba — proszę mnie skierować gdzieś do domu starców. Mam renty 500 zł, zejść im z oczu.

Jakże gorzkim oskarżeniem brzmią te słowa. I jak trudno lekarzowi przełamać niechęć i zdobyć się na spokój, gdy za kilka dni w tym samym gabinecie zjawi się elegancka kobieta w średnim wieku i ze zdziwieniem zapyta — moja matka tu była, po co? Będzie rosło to jej zdziwienie w miarę, gdy słuchać będzie perswazji lekarza, aż przerodzi się we wstyd, skruczę i głęboką zadumę — nigdy się nie skarżyła, nie sądziłam, że jej u nas źle. Zrobię wszystko, by zrozumiała, że nigdy nie przeszkadza nam, że kochamy ją jak dawniej, tylko... zapomnieliśmy, że jej się też należy ciepłe słowo, życzliwy gest, zainteresowanie.

Nie zawsze sprawy kończą się pomyślnie. Zdarza się, że niestety nie ma ratunku, że nic nie jest w stanie przywrócić rodzinie spokoju, równowagi, uratować ją od rozbicia. Przyczyną tego jest najczęściej zbyt późne szukanie ratunku. Wówczas, gdy narastający konflikt przerodził się już we wzajemną wrogość, nienawiść. Dzieje się tak bardzo często. Ale nawet wówczas wizyta w Poradni daje dobre rezultaty. Każdą sprawę w zależności od jej rodzaju rozpatrują specjaliści: ginekolog, pedagog, seksuolog, psycholog, psychiatra, socjolog. Czasem potrzebne jest dłuższe leczenie, czasem kilka rozmów, niekiedy po prostu nic nie da się zrobić. Ale mądra perswazja, dobra przyjacielska rada, powodują, że tu w poradni ulatniają się jak gdyby ciężkie opary nienawiści, zaciekleści, topnieją gromadzony ból. Rodzi się natomiast filozoficzna zaduma — widocznie tak musiało być. A może to i moja wina? Może uda mi się jeszcze ułożyć sobie życie lepiej, mądrzej.

W naszym kraju działa już kilka tego rodzaju placówek. Prowadzą one nie tylko działalność praktyczną — poradnictwo, leczenie. Mają szersze ambicje. Np. przy poradni warszawskiej, która pracuje już 6 lat, od przeszło roku działa Ośrodek Badań nad Współczesną Rodziną. Naukowcy, których ośrodek ten skupia, prowadzą specjalne badania mające na celu dostarczenie materiału na temat: jaka jest rodzina współczesna, jak układają się wzajemne w niej stosunki, co ją cementuje i co jej zagraża, by tym skuteczniej w naukowy sposób móc pomagać nam w codziennym, nietatwym rodzinnym życiu.

Jak bowiem wynika z obserwacji poradni rodzinnych przygotowanie do życia rodzinnego wśród młodzieży jest wysoce niedostateczne. Młodzi ludzie zdradzają często zupełny analfabetyzm w tak ważnych dla rodziny i szczęścia osobistego dziedzinach — jak życie erotyczne człowieka, obowiązki oczekujące w małżeństwie, czy choćby rozsądne zaplanowanie rodziny. A od niewiedzy do rozczarowania i nieszczęścia tylko jeden krok.

KATARZYNA RITT

Zdjęcia: CAF i Janusz Kreczmański

ten moment, kiedy lekarz uprzejmym, przyjaznym gestem zaprosi ich... na rozmowę. Rozmowę w każdym niemal przypadku niezmierznie trudną. Bo przecież przed zupełnie obcym człowiekiem trzeba odsłonić swoje najboleśniejsze przeżycia. Lekarz musi poznać przyczynę konfliktu, przy pomocy dzieciętków pytać dociec jego źródła, poznać przebieg i zastanowić się nad sposobem dalszego postępowania. Najczęściej taka pierwsza rozmowa trwa długo — nawet kilka godzin.

Poznałem dziewczynę na zabawie. Podobała mi się jak żadna inna — zwierza się przystojny 28-letni, młody architekt. Pokochałem ją. Całymi dniami marzyłem o niej. Zaniedbałem studia. Ona... różnie bywało. Czasem spotykała się ze mną, ale raczej niechętnie. Zrozumiałem, że po prostu wpadłem. Kole-





Rozmyślania przy kominku

MIŁOŚĆ RODZINNA

Nie mogliśmy dzisiaj, starym zwyczajem, posiedzieć sobie spokojnie przy kominku, gdyż telefon, po prostu, „urywał się”. Pani Basia nadsyłała bez przerwy „meldunki z placu boju”, pytała o radę, nie dawała nam dojść do słowa i po raz któryś tam z rzędu powtarzała tę samą historię. Nic nie pomagało, ani spokojne perswazje, ani apele do zdrowego rozsądku, ani też słowa pocieszenia w rodzaju: — Nie przejmuj się! Cóż więc robić w tej sytuacji? Chyba tylko podzielić się z Wami kłopotami pani Basi.

Pani Basia wraz z mężem, 17-letnim synem i psem Puckiem mieszka w Warszawie. Nieważne, że mieszkanie ich liczy łącznie 31 m² i mówiąc szczerze na nadmiar miejsca nie narzekają, tym niemniej dla licznej rodziny p. Basi rozsianej po różnych miasteczkach i wsiach Polski powiatowej — słowo „Warszawa” rekompensuje wszystko. Co więcej, owo życie w Warszawie obfituje, ich zdaniem, we wszelakie rozkosze. Bo „do i „do każdej władzy blisko i tramwajem czy autobusem wszędzie dojedziesz. I w sklepach pełno, a kin, teatrów, kawiarni — to wprost zatrzęsienie”. Więc i ciocia z Rybnicy po wyspy i wujek z Butek Małych w sprawie podatku guntowego i stryj z Wlenia, aby gdzieś „zaczeplić” syna i inni kuzyni i kuzynki jadą prosto do pani Basi.

Pani Basia protestowała bezskutecznie. Prosiła, tłumaczyła, — ale bez rezultatu.

Pewnego dnia, o bladym świcie, zadzwonił dzwonek u drzwi pani Basi. Przybywała znana jedynie z imienia, daleka kuzynka, „dziesiąta woda po kisielu” na kilkumiesięczną kurację w jednym z warszawskich szpitali. Pani Basia, szczerze przejęta, zakrzętała się natychmiast. Zadzwoniła do pracy, że dziś nie przyjdzie i zajęła się krewną. Umieściwszy ją w szpitalu, według skierowania, i zapewniwszy solennie, iż będzie się nią przez cały czas pobytu szczerze opiekować — pojechała do domu. Tu jednak czekała ją niespodzianka.

Drzwi otworzył jej nieznaną chłopczyk, mówiąc: — Ja jestem Stasio, a to pewnie ciocia, — z pokoju zaś dolatywały głosy rozbawionego towarzystwa. Pani Basia stanęła na progu i... przetarła oczy. Na stole stały dwie butelki wina i karton ciastek. Jej własny syn, Zenek obejmował za szyję wysokiego dryblasza i coś mu bełkotliwie tłumaczył, zaś pochylona nad dywanem dziewczyna zbierała na śmietniczkę jakieś skorupy, w których oko pani Basi zaraz rozpoznało przynależność do pamiątkowego kompletu kryształowych kieliszków. Nad wszystkim królowało zwycięskie „ye, ye, ye” — ale na te dźwięki ucho pani Basi już nie reagowało, jako nazbyt powszednie i codzienne dla matki 17-letniego chłopca.

Stała więc na progu osłupiała, nie mogąc wykrztusić słowa, gdy z kłopotu wybawił ją chłopczyk. — Ciocia przyszła! — oznajmił głośno i nagle pani Basia znalazła się w objęciach najpierw dziewczyny, a później „dryblasza” — którzy ją serdecznie i wylewnie witali.

Wtedy pani Basia odzyskała mowę, odepchnęła nieznaną siostrzeńców i zwróciła się do własnego syna. Ten pogodnie, acz trochę bełkotliwie wyjaśnił, iż przyjechały dzieci, umieszczonej w szpitalu kuzynki. — I właśnie się zapoznaliśmy, ciociu! — dorzucił dryblas.

Okazało się, że „dzieci” (18, 17, i 9 lat) podczas choroby matki pozostać miały same na gospodarstwie, jednakże po namyśle cała rodzina doszła do wniosku, iż lepiej będzie gdy zostaną pod opieką „cioci Basi”. Przyjechali więc rankiem do Warszawy, matka poszła pierwsza, a oni przybyli później.

Pani Basia bez słowa zawróciła i pojechała do szpitala. Tam miała wiele kłopotów, zanim udało się jej zobaczyć z chorą, której widocznie na tym spotkaniu specjalnie nie zależało. Wreszcie ją „dopadła”.

Ale krewna z prowincji nie traciła pogody ducha. — Co się mają dzieci bez opieki gdzie włożyć same? — oświadczyła. — A tak, u ciebie, to dziewczyna w domu pomoże, posprząta, ugotuje. Chłopak z psem wyjdzie na spacer, zresztą on już tam sobie da radę! A ten najmłodszy, toż to jeszcze dziecko! Chyba nie miałabyś sumienia, aby dziecko wygnać na ulicę, gdy jego matka taka chora!

Na protesty i groźby pani Basi, wyjaśniła, że ona swój honor ma i nie chce niczego za darmo, więc uzgodniła już ze swym byłym mężem, aby comiesięczne (dość wysokie) alimenty przesyłał na adres pani Basi. Z nauką dzieci też nie będzie kłopotu, gdyż do szkoły trzeba posłać tylko małego, ponieważ starsze dzieci na razie i tak się nie uczą.

Głośną dyskusję jaka się wywiązała po tej przemowie przerwała pielęgniarka przypominając pani Basi gdzie się znajduje i prosząc, aby nie zakłócała spokoju chorem.

W domu był tylko Stasio. — Wujek gdzieś poleciał, zaraz jak tylko przyszedł. — poinformował panią Basię. — A oni — wskazał na pokój — poszli oglądać Warszawę. — W pokoju był wprost „kosmiczny” bałagan. W kuchni piętrzyły się brudne talerze, a na stole leżała odpruta tarcza z synowskiego rękawa.

I tak się zaczęła „rodzinna epopeja” pani Basi. Była zima. Dzieci oświadczyły, że nie mają za co wrócić do domu, a zjeść też potrzebują, gdyż pieniądze otrzymane od ojca, rodzina zużyła na przyjazd do Warszawy i wydatki związane z chorobą matki. Mąż pani Basi zagroził, że wyprowadzi się do kolegi, gdyż nie widzi różnicy między poczekalnią dworcową, a swym domem rodzinnym. Zaś jedynak, Zenek zasmakował

w towarzystwie nowego „rodzeństwa” i uznał, że nauka nie jest tak konieczną rzeczą, jak mu to wciąż „wkładali do głowy” rodzice, skoro można żyć, a nawet zabawić się na koszt „jeleni” — jak to robią nowi krewni.

Potem przyszła administratorka i to w chwili, gdy mąż pani Basi był w trakcie wygłaszania jednej ze swych grzmiących mów na temat miłości rodzinnej. Administratorka spytała kiedyż wreszcie państwo Kowalscy dopełnią obowiązku czasowego zameldowania przebywających u nich trzech osób, na co pan Kowalski odparł, że wcale nie ma tego zamiaru i nie będzie nikogo meldował. Wywiązała się ostra wymiana zdań i jedynie nerwowo atak jakiemu uległa pani domu, położył jej kres. Administratorka wyszła trzaskając drzwiami, a pani Basia dogoniła ją na klatce schodowej, gdzie płacząc i szlochając wyjaśniła wreszcie administratorce cały sens tej kłopotliwej sytuacji. Temu też, w dużej mierze należy zawdzięczać, iż sprawa nie miała dalszego ciągu i nie zakończyła się przed Kolegium Orzekającym.

Kilka dni „po pierwszym” nadeszły alimenty. Pech chciał, że odebrał je Zenek, który nie protestował wiele, gdy nowy brat cioteczny zabrał je „dla chorej matki”.

Pani Basia obiegła już ze swym kłopotem wszystkich znajomych. Spotkała się z różną reakcją. Jedni, wysłuchawszy całej historii, pytali o termin wyjścia matki „młodej trójki” ze szpitala, inni radzili zwrócić się do ojca, który na północnym krańcu Polski od kilku lat założył nową rodzinę. Znaleźli się i tacy, którzy współczuli, lecz nie widzieli innego wyjścia z sytuacji jak pocierpieć jeszcze i pomóc w tej ciężkiej chwili i matce i dzieciom. Na rady w rodzaju: — Kupić im bilety i wsadzić do pociągu. Niech jadą do domu! — pani Basia sama odpowiadała: — Zima na dworze. Jak oni tam sobie dadzą radę? Pieniądze przepuszczają na płyty i wino i co dalej? Głodować będą, czy kraść? — tak, że „rajcy” wobec takiego dictum rozkładali tylko ręce.

I wówczas pani Basia trafiła na nas. Telefon „urywa się”, a ona zachłystując się słowami wciąż pyta czy miłość rodzinna zawsze prowadzi do takich rezultatów i gdzie kończą się obowiązki rodzinne i ludzkie, a zaczyna uleganie czyjejś bezczelności, brakowi skrupułów i żerowaniu na czyjejś przyzwoitości i życzliwości dla ludzi?

HABER

Fot. Archiwum





Czy starzy, schorowani muszą przez komornika uzyskiwać środki na chleb i szklankę mleka?
Fot. Jerzy Proppe

Spragnieni są ciepła i serdeczności.
Fot. „Ty i Ja”



Tytuł i treść poniższych rozważań zaczerpnęliśmy z tygodnika Prawo i Życie. Autor — Zygmunt Mańk. Dobro sprawy wymaga, aby tego rodzaju zagadnienia o charakterze społeczno-moralnym znane były jak najszerszej i jak najpowszechniej.
Red.

P R A W O Ż Y C I A

Na pytanie: „I co dalej Stary Człowieku? — proponuje się odpowiedź: „Dom Starców”.

Teza ta — moim skromnym zdaniem — nie wydaje się być trafna i to z wielu powodów. Chyba wystarczy jeśli przytoczę tylko powód pierwszy, „napoleoński”: Domów Starców w zasadzie nie mamy. Albo: mamy, ale w symbolicznej — w stosunku do liczby ludzi starych — ilości.

.....
Nie popełnię chyba błędu, jeżeli orientacyjnie przyjmę, że w chwili obecnej mamy około 3 milionów: kobiet (w wieku powyżej 60 lat) i mężczyzn (w wieku powyżej 65 lat).

A ile mamy Domów Starców.....
Łącznie (domy opieki i domy rencistów — dop. Red.) 143 zakłady z 11.933 miejscami. A ludzi starych mamy trzy miliony.

Innymi słowy, możemy pomieścić w domach rencistów około 0,4 procentu ludzi starych.

A co ma robić 99,6 procentu ogółu ludzi starych.

.....
Państwo nasze nie stać i przez długie lata nie będzie stać na masowe budowanie domów rencistów. I nie tu tkwi problem. I nie w takim też kierunku pójdzie rozwój społeczny. Przynajmniej jeśli chodzi o najbliższe kilkanaście czy nawet kilka dziesiątków lat. Wróćmy więc do rzeczywistości.

.....
Sprawa pierwsza. Nie wszyscy ludzie starzy mają renty, zapewniające chociaż minimum egzystencji. Skandalem wołającym o pomstę do nieba, są — niestety dość liczne — sprawy 75 — czy 82-letnich ludzi o skromne alimenty lub świadczenia z umowy dożywocia od niezłe lub całkiem dobrze sytuowanych, często licznych dzieci. Po ilu wahanach, głodówkach, nieprzespanych nocach, stara matka zdecyduje się na wystąpienie do Sądu przeciwko rodzynom dzieciom o alimenty lub świadczenia z umowy dożywocia — nie będą rozważał. Spraw takich widziałem dostatecznie dużo i wiem jedno: decyduje się na to w ostateczności.

Czy jeszcze długo siedmioro dzieci nie będzie w stanie utrzymać jednej starej matki lub ojca. Czy starzy schorowani ludzie muszą przez komornika uzyskiwać środki na chleb i szklankę mleka.

Komu się zwierzyć i gdzie znaleźć pociechę...
Fot. Kuruliszwilli

Sprawa druga. 99,6% ludzi starych żyje poza domami rencistów. Nie oznacza to, że wszyscy żyją wśród bliskich. Ale ogromna większość — z pewnością.

Obecne pokolenie ludzi starych jest — w pewnym sensie — problemem wyjątkowym. Wszak ludzie ci przeżyli dwie wojny światowe, utracili często wielu najbliższych i drobek całego życia. Są sterani, schorowani, bezradni. Należy się im szacunek, opieka i...

I nie tylko to.
Ludzie spragnieni są ciepła i serdeczności. A ludzie starzy chyba najbardziej.

Nie chcą wiele. Chcą tylko, by nie traktować ich jak sprzętów, które zawadzają. By czasem powiedzieć jedno dobre, życzliwe słowo. By dostrzec ich istnienie.

Była dziś u mnie w biurze — po raz chyba dziesiąty — 76-letnia staruszka. Siedmioro dorosłych dzieci, które wykarmiła, wychowała i wykształciła — jest już „na swoim”. Każde jakoś się urządziło. Skromne alimenty (obecnie wystąpiła o ich podwyższenie) egzekwuje przez komornika... Płacze. Zali się na córki. Przed rokiem córka ją pobiła. Teraz szkanuje, odmawia matce podania — w czasie choroby — choćby szklanki herbaty. Uważa, że jest w porządku — bo płaci — symbolicznie zresztą alimenty.

Mówi się, że ludzie starzy nie powinni ciążyć nad życiem młodych.

Czy ciążą?
Na to pytanie nie można udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Świecie, ul. Klasztorna. W głębi pobernardyński



W jednym z poprzednich numerów „Rozdżiny” mówiliśmy o Policach, o kombinacie, który rodzi się na ziemi szczecińskiej. Dziś słów kilka o Przechowie, również nowej inwestycji naszego przemysłu.
W Przechowie powstaje wielki kombinat celulozowo-papierniczy, który zwiększy o 50 proc. naszą dotychczasową produkcję w tej dziedzinie.
Kombinat rośnie w Tucholskich borach między Wisłą i Wdą. Mówi się, że dzięki tej fabryce Chełmno i Świecie nad Wisłą złączą się w jeden organizm gospodarczy, rozszerzą się w „trójmiasto”.



Ludzie ci przeżyli dwie wojny, stracili majątek, bliskich... Fot. Archiwum

Prawdą jest, że będący „na dorobku” młodzi, obarczeni dziećmi i licznymi obowiązkami, nie zawsze mogą poświęcić dostatecznie dużo czasu i uwagi starym rodzicom.

Prawdą jest, że czasami ludzie starzy są trudni we współżyciu, że chcą po swojemu kierować codziennymi sprawami i życiem swych dorosłych już dzieci.

Ale musimy jednocześnie pamiętać, że są to ludzie często schorowani i wyczerpani psychicznie i fizycznie, sterani życiem. Że w dużej mierze ich postępowanie — często drażniące dzieci — związane jest z samym procesem starzenia się. Z zachodzącymi w psychice i organizmie przemianami.

My też będziemy starymi. Pokolenia niepostrzeżenie się „przewijają”. I takie jest prawo życia.

Ale nie możemy tolerować postaw wygodnickich, sobkowskich czy zgoła nieludzkich. Osoby, których zdjęcia zamieszczamy nie mają nic wspólnego ze sprawami poruszonymi w artykule.

ciół barokowy z 1721 r. Fot. J. Kreczmański



PRZECHOWO

Jak dotychczas Chełmno szczyli się tylko swą historią, zabytkami i... przepięknym położeniem. Średniowieczne mury i baszty, układ ulic jak w czasach piastowskich — to w naszych — i nie tylko w naszych — warunkach, rzecz zgoła niezwykła. Świecie poza historią ma również malownicze położenie. Wszystko to razem jednak za mało dla rozwoju. Szansę stanowi kombinat przechowski, który zatrudni do czterech tysięcy ludzi. W Przechowie wrę prace. Elektrociepłownia ruszy pierwsza, a potem od wiosny br. począwszy uruchamiane będą kolejno działy produkcyjne.

HOLENDERSKI EKSPERYMENT

Holandia — kraj niewielki — posiada ok. 12 mln mieszkańców i katolików liczy także niewielu (5,1 mln). Do 1795 r. wszystkie pory w tym kraju były opanowane przez kalwinów. Ale rok ten był przełomowym. Katolicy zaczęli działać. Powstał dziennik katolicki, organizacje robotnicze, hierarchia. Dziś istnieje 7 diecezji i ponad 20 dzienników.

W kościołach holenderskich wrę. Coraz nowe rodzą się eksperymenty, coraz nowe wysuwane są koncepcje. Przystosowanie Kościoła do dnia dzisiejszego (aggiornamento — jak to po włosku określał Sobór Watykański) jest tu przyjmowane nie tylko w teorii. Biskupi, duchowni i wierni szukają właściwych form i metod, aby Kościół mógł wejść w życie i być Kościołem żywym.

Katolicy holenderscy rozwijają szeroką współpracę z innymi wyznaniem i z ludźmi niewierzącymi. Do liturgii wprowadza się zaskakujące wprost zmiany: księża dowolnie zmieniają kanon, usuwają pewne partie mszy św. (modlitwy prywatne kapłana, wierzę w Boga), dokonują podniesienia kielicha i hostii jednocześnie, komunie składają na lewą dłoń przyjmujących.

W listopadzie rozpoczął się tzw. Sobór Duszpasterski. Nad przygotowaniem czuwała Komisja Centralna, złożona z Kardynała Alfrinka, dwóch biskupów, czterech osób świeckich, jednej zakonniczki, trzech zakonników i jednego kapłana. Grupy soborowe, które przygotowały tematykę, obejmowały również pro-



W niektórych parafiach holenderskich księża wprowadzają innowację. Oto komunie święta — kapłan składa hostię na lewą dłoń komunikujących się. Fot. „Zorza”

testantów. Sobór potrwa przynajmniej rok. Eksperymenty holenderskie budzą żywe zainteresowanie oraz obawy w Kościele rzymskokatolickim. Jedni sądzą: z podejmowanych prób — wyjdzie rzeczywiście odnowiony Kościół, zdolny do pracy w świecie współczesnym, inni przypuszczają, że może narodzić się „schizma”.

(opr. wg „Za i przeciw”)

N'GAI, DAJ NAM DESZCZ...

Kłęski żywiołowe towarzyszą człowiekowi na całej jego drodze istnienia. Niepodobna im zapobiec, niekiedy nie sposób przewidzieć, ale człowiek cywilizowany zna i rozumie ich naturalne przyczyny. Dla człowieka pierwotnego są one objawem gniewu bożego.

Gdy susza nawiedza Kenię, gdy grad niszczy zasiewy, gdy burza niweczy las, gdy pada bydlę — Kikuju (nazwa plemienia wschodnioafrykańskiego) zastanawia się, jak przebiagać zagniewane bóstwo. Najpewniejszym sposobem jest złożenie ofiary z jagnięcia, przy czym jagnię winno być jednej barwy — białe, czarne lub brązowe, bez jednego nawet włoska o odmiennej barwie. Można też złożyć ofiarę z ziarna lub miodu.

Przygotowania do uroczystości trwają kilka dni. Obejmują one przede wszystkim starców, którzy pełnią główną rolę podczas obrzędu ofiarnego. W wyznaczonym dniu rusza procesja. Na jej czele idzie chłopczyk z naczyniem napełnionym mlekiem, dalej dziewczynka niosąca takie samo naczynie z piwem. Dalej postępuje grupa starców. Pochód zatrzymuje się pod świętym drzewem eukaliptusowym. Uczestnicy zwracają się twarzami w stronę góry Kenia, a wódz odmawia modlitwę:

— O stwórcu, N'gai, który żyjesz na górze Kenii, który sprawiasz, że drżą góry i dajesz początek rzekom. Przynosimy ci tę ofiarę, abyś zesłał nam długo oczekiwany deszcz. Naród nasz cierpi, dzieci płaczą, bydlę zdycha. Prosimy cię, przyjmij nasze dary. Prosimy cię tak, jak prosili cię ojcowie nasi pod tym samym drzewem. Tyś zawsze ich wystuchiwał i zsyłałeś im życiodajny deszcz. Przyjmij i naszą ofiarę i daj nam deszcz.

Starsi powtarzają słowa modlitwy, a wódz pije z przyniesionych naczyń łyk mleka i piwa, aby okazać czystość swoich intencji, następnie przebie przez lewe ramię wylewa nieco napoju ku czci przodków chroniących święte drzewo. Gdy procesja siedmiokrotnie obchodzi święte eukaliptus, rozpryskując wokół mleko i miodne piwo, jeden ze starców zabija jagnię, ściąga skórę i składa ofiarę na płonącym stosie. Jelita ja-

gnięcia omotuje się na gałęziach drzewa i polewa krwią. Dopóki płonie stos uczestnicy obrzędu wychwalają boga N'gai i posyłają błogosławieństwa pod jego adresem we wszystkie strony świata. Wreszcie ognisko wygasa. Święty obrzęd zakończył się.

Jeśli deszcz nie pada, Kikuju złożą nową ofiarę. I tak aż do czasu, gdy spadnie deszcz... Trzeba przyznać, że Kikuju nie naprzykrzają się swemu bóstwu. Nie znają indywidualnych modlitw. Sam człowiek (jako indywidualium) nie interesuje bóstwa, dlatego też i człowiek nie zwraca się do niego. N'gai jest bóstwem plemienia, reaguje tylko na potrzeby plemienia, na plemienne obrzędy, przy czym niektóre z nich wiążą się z pewnymi momentami życia indywidualnego — (narodzeniem, pełnoletnością, ożenkiem i śmiercią), inne zaś dotyczą takich spraw jak uproszenie deszczu w okresie suszy, czy też ochrony przed inną klęską żywiołową.

Kikuju nie budują świątyni. Nie mają też zawodowych kapłanów. N'gai mieszka na szczytach gór i w wierchołkach wysokich drzew. Burza i grzmot zwiastują przejście bóstwa z jednego miejsca w inne. O porażonym przez piorun mówi się, że zabił go N'gai, ponieważ ośmielił się spojrzeć na bóstwo.

Modlitwy i obrzędy religijne odpowiadają Kikuju wtedy kiedy zachodzi potrzeba, kiedy bóstwo jest zagniewane, albo też plemię ma zdecydować o jakiejś ważnej sprawie stanowiącej o jego przyszłości (do tego typu spraw należą również wtajemniczenia dorosłej młodzieży, ożenku i śmierci).

Dla wyjaśnienia dodajmy, że na terenie Kenii żyje 27 głównych plemion, które można łączyć w pewne grupy. Kikuju to największe plemię należące do grupy (najliczniejszej) Bantu. Chrześcijan w Kenii jest niewielu, zaledwie 8 proc. ogółu ludności. Poza innymi przeszkodami w rozprzestrzenianiu się chrześcijaństwa, wynikającymi z przyczyn odmienności psychiki i zwyczajów, jedną z podstawowych — była również rywalizacja między poszczególnymi wyznaniem chrześcijańskimi.



Schwyty Indianin ma w uszach grube krążki złota. Rozmowa z nim jest trudna, wreszcie jednak zrozumie, że ma Hiszpanów zaprowadzić do swej wioski. Wczesnym rankiem Europejczycy przybili do lądu, teraz dochodzi już południe.

Juan de la Cosa i Ojeda prowadzą kolumnę. Między nimi idzie przewodnik — jeniec. Indianin jest opanowany, postępuje bez wahań, kroczy szybko, pewną stopą.

Właśnie oddział mijal większy odcinek prześwitu, gdy ciszę potargal bliski i dobrze znany odgłos grzechotki. Ojeda stanął raptownie, zakrzyknął:

— Uwaga... i nagle urwał, bo Indianin, wykrzywił twarz w potworny grymas, mający zapewne markować uśmiech, i wyciągnął ramię.

Kilka wielkich karminowo-ceglastych motyli witezi uniosło się w powietrzu, wydając dźwięk do złudzenia imitujący chrobot śmiertelnie jadowitego grzechotnika. Ojeda roześmiał się, ale nie był to uśmiech odprężenia i ulgi. Ruszono znowu w drogę.

Wódz szedł pelen napięcia, z rozdygotanymi nerwami. Oczy uderzał w zarośla, łowił nosem powietrze, natężył słuch, ale zmysły były bezsilne w głąszy otaczającego ich leśnego pustkowi. Przewodnik przyśpieszył i Ojeda nie edając sobie sprawy, dlaczego tak czyni zaczął skręcić krok.

W tym momencie de la Cosa zaklął. Ojeda gwałtownie obrócił się do towarzysza. W przedramieniu pilota w miej-

Zatrute strzały

scu, gdzie gruba skórzana rękawica stykała się z pancerzem chroniącym ramię tkwiła krótka strzała. Stary żeglarz wyszarpnął pocisk.

— Głupstwo, ledwie drasnęła — powiedział. Ale zaraz ręką chwycił się porywczo za gardło. Na usta wybiegła mu brudna piana, twarz pocięły fioletowe pręgi i de la Cosa ciężko zwałił się na ziemię.

Przewodnik wydal w tej chwili dziki ryk, błyskawicznym susem przeskoczył ciało pierwszego pilota i rzucił się między luźno rosnące drzewa. Wysoki cienki głos Ojedy zadzwonił trwogą:

— Caballeros, atak, zatrute strzały...

Krzyk dowódcy zaginął w gwałtownej wrzawie, jaka targnęła puszcza. Wśród rosnących drzew zamigotały setki brunatnych postaci. Ulewa strzał chwila na idący długim łańcuchem oddziały białych. Wiele pocisków z metalicznym brzękiem ześlizgując się po pancerzu spłynęło nieszkodliwie na ziemię, ale biada Hiszpanowi, którego nieosłonięte żelazem ciało dosięgła indiańska strzała.

Coraz częściej tryumfalny ryk dzikich odnotowywał nowe zwycięstwo. Tubylcy skacząc niczym koty leśne od pnia do pnia, byli prawie nieuchwytni dla ciężkozbrojnych i długim marszem strudzonych konkwistadorów. Na próżno Hiszpanie, tłocząc się na ścieżce,

próbowali cofać się tą samą, co przyszli drogą. Wróg obsadził gęsto tyły.

Oddział topniał w oczach. Indianie raz jeszcze sypnęli salwą jadowitych pocisków i na garstkę pozostałych przy życiu Europejczyków uderzyły setki zwycięskich wojowników, walką wręcz gotując krwawy koniec ekspedycji.

Wysforowany naprzód Ojeda dokonywał cudów zwinności. Wódz był bez pancerza. Miał na sobie tylko hełm i gruby bawełniany kaftan, ale w chybkim jego ręką mała stalowa tarcza zataczała błyskawiczne kręgi łowiąc dziesiątki wycelowanych weń zatrutych strzał. Puklerz ten, w którym naliczono dwadzieścia trzy ślady pocisków, wokół malej postaci hiszpańskiego dowódcy czynił ruchliwą, żelazną zasłonę, nieprzebytą dla tubylczej broni. Ojeda nie ograniczał się do obrony, lecz raz po raz z doskoku wyrwał wojownika z szeregów wroga. Doświadczony żołnierz rozumiał dobrze, iż sprawa jest przegrana, tylko zimne nerwy i mocne nogi mogły uratować mu życie. Więc w ciągłej walce systematycznie wycofywał się na skraj, by w odpowiednim momencie niepostrzeżenie zbiec z pola przegranej bitwy. W tej chwili właśnie potyka się o trójkę Indian. Odparował tarczą potężny cios maczugi wojennej i jeszcze łomot palki nie zastępnął w powietrzu, a już spada Hiszpana mistrzowską sztuką obaliła dwóch przeciwników. Ale wtem Ojeda pośliznął się i runął na ziemię, gubiąc zbawczą tarczę. Z dzikim rykiem smukły Indianin wyrzucił daleko w tył ramię, gotując dziwę w nieobronne piersi awanturnika. Ojeda odruchowo zasłonił wyciągniętymi dłońmi twarz i mimo woli zamknął oczy, oczekując nieublaganego sstychnięcia. Coś ciężkiego padło mu na nogi. Hiszpan otworzył oczy. Pizarro zwlekał ciało zabitego Indianina z leżącego Ojedy...

W. K. OSTERLOFF
(fragment z książki)

Bartłomiejowa gadka

MÓZG W KURNIKU

Technika, moi kochani, technika zrobiła u nas szaloną karierę, aż plakać się chce z radości. Gdzie okiem rzucić, tam wspaniałe wynalazki, o których nawet nie marzyło się nikomu, a wynalazców również mamy z głowami do pozłoty. Widziało się, kochani, wiele wynalazków, ale jeden z nich wprowadził mnie w niewypowiedziany zachwyt. Gdy wam o nim powiem, zobaczycie, że i wam zakręci się także w głowie.

Jest w mieście Wrocławiu bardzo elegancka kawiarnia, nazywa się Stylowa i przychodzi do niej wspaniałe towarzystwo. Otóż kierownicy Stylowej urządzili własną fermę kurzą, żeby ich goście na każde skinienie mogli mieć świeżutkie jajeczka. Nie jest to zwyczajna ferma, taka jakiej widuje się w PGR, lecz ferma nad fermami, supernowoczesna, hipermodernizowana — cud techniki wszystkich wieków. W tej fermie siedzą sobie kokoszki w gniazdeczkach, każda ma własne imię — Fizia, Kizia, Bizia, Tusia, Pusia itp. Kurki mają przed sobą wywieszony harmonogram, a na nim wy-

pisane, o której godzinie dana kurka ma znieść jajo. Czytają kurki harmonogram i patrzą pilnie na zegar z kurantami, żeby swojej godziny nie przespać. W środku kurnika stoi mózg elektronowy, który zna wszystkie kurze imiona. W odpowiednim momencie mózg komenderuje: — Fizia, Fizia, nadchodzi czas. Bądź gotowa. Bądź gotowa. Raz, dwa, trzy, nieś.

Wówczas kurka momentalnie znosi piękne jajo. I tak przez okrągłą dobę mózg wydaje rozkazy, a kokoszki strzelają jajeczkami. Czy to nie postęp? Nie szczytowe osiągnięcie techniki, nie genialny pomysł kierownictwa Stylowej. Gdyby tak w PGR...

Prawdę wam powiem, kochani, że na własne oczy to tej fermy nie widziałem, ale przysięgam, że taka jest. Umiem czytać „między wierszami” i wyczytałem o niej w tzw. spisie dań, który w Stylowej z gracją podają klientom miłutkie kelnerki. W spisie tym widnieje czarno na białym i na maszynie wypisane:

Jajecznicza — 100 gr. — cena 11,10 zł,
jajecznicza na szynce — 130 gr. — cena 14,20 zł,
jajko gotowane — 100 gr. — cena 9,40 zł,
jajko po wiedeńsku — 90 gr. — cena 10,50 zł.

Zważcie, kochani, jak ściśle podaje się tu wagę jaj. Ani miligrama mniej, ani pół miligrama więcej. Klientów nikt tu nie buja. Nikt nie robi ni manka, ni superaty w magazynie a wszystko dzięki temu, że mózg elektronowy waży jajka przed zniesieniem i gdy jajo osiągnie wagę, jak uciął 50 gr., rozkazuje kokoszce wielkim głosem: „nieś”.

Niech żyje mózg w kurniku!

Ale ja swoją drogą pisałbym klientom o tych jajach w sztukach, żeby było mądrzej np. tak: „Jajecznicza z jednej trzydziestej kopy”. Bo gdyby klienci zaczęli jajka ważyć, to jednak trochę nieprzyjemnie mogłoby być kierownictwu kawiarni Stylowej.

BARTŁOMIEJ OCZKO



Zły jak pies — mówi się o nikczemniku; psu oczy sprzedał — o człowieku bezwstydnym; zeszedł na psy — o kimś, komu podwinęła się noga. Prawdopodobnie każdy z naszych czytelników zna kilka lub kilkanaście innych porzekadeł i przysłów, w których pies występuje jako miernik wszelkiego zła. Nie wiadomo, czemu tyle niepoehlebnych ocen wiąże się z tym zwierzęciem. Przecież to właśnie pies najwcześniej spośród całego czworonożnego i skrzydlatego świata uzależnił swój los od człowieka. Stał się jego pomocnikiem, obrońcą, najwierniejszym przyjacielem. Bo, jak świadczą wykopaliska, pierwszym zwierzęciem domowym był pies. Trudno jest dzisiaj stwierdzić, jaką drogą doszło do tego. Może jakiś prehistoryczny chłopiec przyniósł dla zabawy do swojej jaskini szczenię wilcze lub szakale, które już pozostało z ludźmi. A może któreś zimy szczególnie mroźnej i głodowej praprzodkowie domowego psa przyszli sami do ludzkich obozowisk, zwabieni ciepłem ognisk i zapachem pieczonego mięsa. Nigdy nie dowiemy się prawdy.

Pewne jest natomiast, że udomowienie psów rozpoczęło się przed przeszło 8 tysiącami lat, mniej więcej równocześnie w kilku ośrodkach południowo-wschodniej Azji i Afryki. Zwierzęta, które zapoczątkowały wielki psi ród były bardziej podobne do wilków i szakali, niż do swoich współczesnych potomków. Oswojone psy wraz z ludźmi wędrowały na nowe tereny, na zachód —



do Europy, na wschód — do Indii i Chin. Towarzyszyły ludziom w dalekich wyprawach za ocean — do Australii, Sumatry, Jawy i nawet do Ameryki. Nowe korzystniejsze warunki i dobór hodowlany, co prawda jeszcze niezupełnie świadomy i konsekwentny, uszlachetniły pierwszego psa i zapoczątkowały powstawanie ras. Najpierw ukształtowały się odmiany psów pasterskich i myśliwskich, które z biegiem czasu różnicowały się i specjalizowały coraz bardziej.

Dzisiaj służy człowiekowi około 300 różnych ras i odmian psa domowego. Psia rodzina jest nie tylko bardzo liczna, lecz także niezwykle urozmaicona. Jej członkowie różnią się między sobą wyglądem zewnętrznym, temperamentem, uzdolnieniami. Są psy — maluchy o wadze 600 g i wysokości (w kłębie) 18 cm i psy — olbrzymy ważące do 70 kg i wzroście sięgającym 110 cm. Niektóre z nich mają sierść kručiątką i gładką, jak aksamit, inne szczyją się długowłosym i kudziatym futrem. Smukłe i zwaliste, o wydłużonych pyskach i zwisających uszach lub z kwadratową szczęką i sterczącymi narządami słuchu, długonogie — wszystkie one w miarę swoich sił i możliwości pracują dla swoich gospodarzy.

PIESKI RÓD

Psi ród można by z grubsza podzielić według spełnianych zadań na trzy wielkie grupy. Do pierwszej — należą psy „służbowe” — spełniające takie prace, jak stróżowanie, pilnowanie stada, ratownictwo, tropienie przestępców itp. Do drugiej — psy myśliwskie; do trzeciej — pokojowe. Jest to podział absolutnie umowny, ponieważ prawie każdy pies posiada na przykład instynkty myśliwskie, pasterskie lub skłonności do stróżowania, dające się rozwinąć. Jednak większość psich ras odznacza się cechami fizycznymi i psychicznymi wyspecjalizowanymi w określonym kierunku.

Na przykład owczarek podhalański — duży biały, puszysty pies o pięknych brązowych oczach, tak charakterystyczny dla tatrzańskiego pejzażu — prawie bez tresury wypełnia doskonale obowiązki pasterza. Urodzonymi opiekunami owczych stad są także owczarki szkockie collie i węgierskie komondory. Do służby policyjnej i wojskowej najlepiej nadają się inteligentne, posłuszne i odważne owczarki alzackie, air-dal, terriery i doberman-pinczery. Do pilnowania mieszkań i obrony osobistej — równoważone i reprezentacyjne boksery i dogi. Bernardyny słyną z dawien dawna jako przyjaciele dzieci; potężny wodołaz jest w stanie wyciągnąć z kąpieli wodnej nawet dorosłego mężczyznę, a eskimoskie psy husky są cenną siłą pociągową.

W licznej grupie psów myśliwskich także istnieje daleko posunięta specjalizacja. Char-ty są świetnymi sprinterami, odznaczają się siłą i odwagą, która pozwala im stoczyć zwycięską walkę z tak niebezpiecznym przeciwnikiem, jak wilk. Pięknołose ogary używane do tropienia, osaczania lub napędzania zwierzyny ścigają ją czasem wytrwale od świtu do późnego zmierzchu. Wyżły różnią się od reszty swoich krewniaków szczególnymi cechami psychofizycznymi. Bowiem nie tylko posiadają instynkt „stójki”, lecz także szukają zwierzyny tak zwanym górnym wiatrem, czyli za pomocą elementów woni unoszących się w powietrzu, przy pełnym ignorowaniu śladów, którymi kierują się prawie wszystkie udomowione psy.

W polowaniach na lisy, borsuki i niektóre inne zwierzęta nieocenionymi pomocnikami są norowce, niewielkie dzielne psy z rasy jamników lub foksterierów. Zwłaszcza te ostatnie odznaczają się niezwykłym łowieckim temperamentem i skore są do walki „wręcz” z każdym przeciwnikiem, obojętne, czy jest nim niedźwiedź czy zwykły szczur.



Psy pokojowe — niesłusznie lekceważone i pogardzane („delikatny jak pokojowy piesek”) — pekińczyki, maltańczyki, pudle, mopsy i inne nie tylko cieszą wzrok swoją wyszukaną, oryginalną, niekiedy zabawną urodą, nie tylko odwdzięczają się swoim gospodarzom bezgraniczną wiernością i przywiązaniem, lecz także na miarę swoich niewielkich przecieź sił starają się służyć im. Nieraz pozornie nieużyteczny pinczerek swoim donośnym głosem może spłoszyć złodzieja, a warto podkreślić, że niektóre psy pokojowe są niezwykle czujne.

Hodowca psów dążąc do udoskonalenia korzystnych cech osaczony jest sprzecznościami. Trudno jest na przykład wykształcić maksymalnie temperament łowiecki obok bezwzględnej posłuszeństwa. Usiłując rozwinąć agresywność można niepostrzeżenie przekroczyć granicę, dzielącą ją od skłonności do hysterii i złośliwości, a pies obdarzony takimi cechami nie nadaje się do tresury. Wiadomo, że pies norny — jamnik lub terrier powinien odznaczać się niewielkim wzrostem. Co zrobić jednak, by w małym ciele mogła rozwinąć się pokaźna siła fizyczna? Oto zaledwie drobna część problemów, z którymi styka się codziennie hodowca psów.

Pies domowy — pierwszy towarzysz człowieka na Ziemi, był także pierwszą istotą ziemską, która powędrowała w Kosmos. Kosmiczne loty psów będą zapewne kontynuowane. W ten sposób wierny czworonóg toruje człowiekowi drogę poza granice naszej planety.



filatelistyka dla wszystkich

Luksemburg wydał serię znaczków dopłatnych na opiekę społeczną („Caritas 1966”). Na sześciu znaczkach pokazano bajki poszczególnych kantonów luksemburskich. Nakład nieograniczony. Znaczki nie sprzedane do 4 lutego br., będą zniszczone.



Tematyka kosmiczna ciągle atrakcyjna. Ostatnio poczta węgierska emitowała ośmionazdkową serię „loty kosmiczne parami”. Na znaczkach pokazano znane zespołowe loty astronautów radzieckich i amerykańskich. Nakład 530 tysięcy ząbkowanych i 8 tysięcy ciętych serii.

Z okazji otwarcia Teatru Narodowego w Tokio poczta japońska wydała trzy znaczki okolicznościowe przedstawiające: budynek teatru, oraz sceny ze sztuki „Kabuki” i „Bunraku”. Nakład 12 milionów pelynych serii.

Tematyka religijna na znaczkach pocztowych wzbogaciła się o interesującą serię wydaną przez pocztę Wysp Cooka z okazji świąt Bożego Narodzenia. Seria składa się z pięciu znaczków, na których reprodukowano obrazy Fra Angelico, J. Memlinga, D. Valazqueza, H. Boscha i J. de Ribera — o tematyce Bożonarodzeniowej. Znaczki te drukowane wielobarwnym offsetem w dużym formacie odznaczają się prawdziwym pięknem zarówno w treści jak i formie. Nakłady wielomilionowe. Wydano FDC.



Sierra Leone wydało dwunastoznaczkową serię „złote monety”. Na znaczkach pokazano obie strony złotych monet kursujących w tym kraju. Drukowano na papierze ze złotą folią.

Poczta hiszpańska uczciła Boże Narodzenie wydaniem znaczka okolicznościowego przedstawiającego Świętą Rodzinę.



W piśmie włoskim „Filatelia Italiana” znajdujemy ogłoszenie rzadkości sportowych. M. in, figuruje tam „bloczek” polski z Olimpiady w Melbourne — cięty. Jest to nowodruk wykonany z oryginalnych klisz i włączony do książki „400 lat Poczty Polskiej”. Cena tego „bloczka” w wspomnianym ogłoszeniu wynosi 50.000 lirów. Ciekawe, że nikt dotąd nie zwrócił uwagi na filatelistyczną wartość tej pięknie wydanej książki.

WŁODZIMIERZ G.

Dalekie i bliskie

Przez wiele lat była popularna wśród astronomów hipoteza, że pierścienie małych planetek — asteroidów krążących po orbitach skupionych między Marsem a Jowiszem — jest świadectwem katastrofy kosmicznej sprzed milionów lat, kiedy to rozpaść się miała hipotetyczna planeta układu słonecznego — Faston.

Znakomity astronom radziecki Fiesienkow, specjalista w dziedzinie kosmogonii, uważa, że w świetle ostatnich danych hipoteza ta jest bezpodstawna. Badania składu chemicznego meteorytów, które są najprawdopodobniej częściami asteroidów, wykazały różnorodność związków, wykluczającą ich „współistnienie” w jednym ciele niebieskim. Profesor Fiesienkow uważa, że wiek asteroidów

jest porównywalny z wiekiem Ziemi (3—4 miliardy lat), i że ich powstanie przebiegało w podobny sposób i w tym samym czasie.

Jeden z brytyjskich antropologów, Louis S.B. Leakey usiłuje wprowadzić gruntowne zmiany do nauki o pochodzeniu rodzaju ludzkiego. Za powód postuluje mu garstka kości.

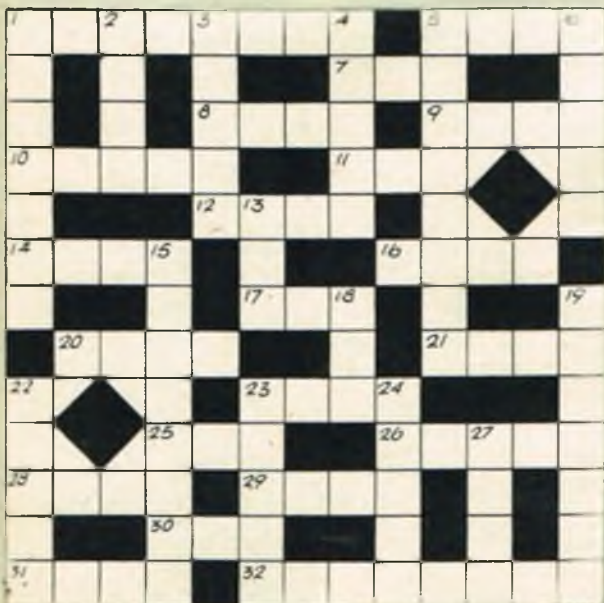
W ciągu ostatnich lat uczonej znalazł w wąwozie Olduvai w Tanganicy szczątki małych istot o wysokości 90 do 120 cm. Fragmenty czaszek wskazują, iż były to stworzenia człekopodobne. Leakey zaproponował, aby pramieszkańców wąwozu Olduvai nazwać Homo habilis (co znaczy dosłownie „człowiek zdalny”, albo „zdolny”). Ci mali zdolni ludzie żyli w Afryce wschodniej milion

lat temu. Ich czaszki kształtem bardzo przypominają nasze czaszki, są tylko mniejsze. Ich ręce potrafiły wykonywać precyzyjne czynności, postugiwać się narzędziami i budować prymitywne schronienia. Homo habilis chodził wyprostowany.

Leakey oświadczył, że wyniki jego badań ukoronowane odkryciem Homo habilis przesuwają narodziny rodzaju ludzkiego o ponad milion lat w głąb dziejów.

Brytyjski antropolog nie wątpi, że Homo habilis jest jednym z naszych przodków. W związku z tym innych pretendentów do zaszczytnego figurowania na drzewie genealogicznym „człowieka mądrego” wypadnie odsunąć na bok. Obecnie wydaje się np., że australopiteki, czyli stepowe małpy wyprostowane nie są naszymi przodkami, lecz reprezentują linie boczne, które wymarły nie pozostawiając następców.

KRZYŻÓWKA NR 7



POZIOMO: 1) stolica Liberii, 5) duchowieństwo, 7) kopalne bogactwo naturalne, 8) ostry brzeg przedmiotu, 9) kropka w modlitwie, 10) lutowa solenizantka, 11) przeciw owocowy, 12) część kościoła, 14) kwiat albo słodycz, 16) mebel, 17) dźwięk, 20) ścisk, ciżba, 21) choroba albo kwiat, 23) produkt pszczelej, 25) przepływa przez Stargard, 26) uroczysty przegląd, parada, 28) część szachownicy, 29) drzewo liściaste, 30) część stoczni, 31) polski Manchester, 32) placówka dyplomatyczna.

PIONOWO: 1) wizerunek religijny noszony na szyi, 2) znak na pięciolini, 3) piewca Podhala, 4) dychawica, 5) budynek zakonny, 6) część walki bokserskiej, 13) głos żeński, 15) wyznaczenie grzechów, 18) część twarzy, 19) najniższa jednostka podziału terytorialnego w organizacji kościelnej, 22) werwa, animusz, 23) bój, 24) powieść Gojawicyzkiej, 27) cecha ujemna, usterka.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 7”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda: 5 KSIĄŻEK.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1

POZIOMO: 1) tunika, 4) kładka, 9) chlor, 10) Rodzina, 11) kandydat, 12) echo, 14) spław, 16) strop, 20) dres, 21) karawana, 24) Bielawa, 25) niebo, 26) ołtarz, 27) okrasa.

PIONOWO: 1) tyczka, 2) nylon, 3) kardynał, 5) Łódź, 6) dziecko, 7) amator, 8) krzak, 13) strażnik, 15) prezent, 17) żółbło, 18) garaż, 19) pogoda, 22) aleja, 23) laur.

Za rozwiązanie krzyżówki nr 1 nagrodę w postaci — teczki aktówki otrzymuje Pan Edward Stachurski — wieś Ocięte, p-ta Sadowne, pow. Węgrów, woj. warszawskie.



NASZA RODZINKA

Ogień i woda

W naszej kuchni ogień z wodą
Nieustanne spory wiodą.

Kto ważniejszy? Szemrze woda:
„Nic bez wody. Gadać szkoda!

Czy gotuje ktoś, czy pierze,
Najpierw z kranu wodę bierze.

Albo czerpie ją ze studni”.
Tak to woda szemrze, dudni.

Na to ogień, zły wybuchnie:
„Któż bez ognia widział kuchnię?

Nikt mej roli nie pomniejszy,
Ogień w kuchni najważniejszy!”

Woda na to: „Jaka śliczna
Jest kuchenka elektryczna.

Gdzie bez węgla i bez gazu
Mogę zagrzać się od razu.

Ale pokaż mi dowody,
Ze gdzieś kuchnia jest bez wody”.

Ogień wpada w gniew prawdziwy,
Aż na garnkach drżą pokrywy.

Para bucha. To za karę
Ogień zmienia wodę w parę.

TADEUSZ POLANOWSKI

Słońce i żarówka

Świeci w górze pod błękitem
Żaróweczka złota,
Gaśnie nocą lub gdy światem
Chodzi szara ślota

Ja mam w domu pod sufitem
Żaróweczkę własną,
Co mi świeci nawet nocą,
Ale nie tak jasno.

DANUTA GELLNEROWA

Legenda o złej księżniczce

Miał książę Bolko Piastowicz na zamku Chojnasty na Dolnym Śląsku śliczną córkę — Kunegundę.

Cieszył się urodą córki książę Bolko i tylko czasami chmurzyło się jego oblicze, gdy przypominał sobie, że Kunegunda miała złe serce. Śmiała się, gdy kot złapał ptaszka, sowa — zajączka, kiedy psy szarpały kota, i kłaskała w rączki z uciechy.

Próżno żebak wędrowny wyciągał ręce po jałmużnę do księżniczki. Kazata go przepędzić z zamku i szczuć psami.

Z wieżyc zamkowych rozciągał się wspaniały widok na posiadłość księcia. Jak na dłoni widać było przepiękne dąbrowy, zielone łąki pełne kwiecica, szmerzące po skałach strumyki i wodospady, daleko, aż do gór Olbrzymich, co je lud Karkonoszami zwał.

Bogaty i potężny był książę Bolko. Nic by mu nie brakowało. Syna tylko nie miał. Nie miał komu dziedzictwa powierzyć. Liczył też na to, że ukochaną córkę jego pojmie za żonę któryś z licznych a dzielnych rycerzy. Temu to rycerzowi, przyszlemu zięciowi, księstwo chciał powierzyć.

Więść o urodzie i bogactwie księżniczki Kunegundy szeroko szła w świat. Zjeżdżało się mnóstwo rycerzy.

Księżniczka bawiła się wesoło i ochoczo. Wieńczyła kwiatami skronie zwycięzców na turniejach, lecz serce jej nie uderzyło żywiej do żadnego z rycerzy.

Aż wreszcie zniewolona księżniczka orzekła, że tylko za tego wyjdzie za mąż, kto w pełnej zbroi potrafi objechać dokola zamek Chojnasty.

Było to bardzo trudne i niebezpieczne zadanie. Zamek stał na wysokiej skalistej górze, bardzo stromej. Zewsząd czyhały na śmiałka głębokie przepaście.

Widziała księżniczka, jak jeden po drugim jechali rycerze i spadając ginęli. Jeden po drugim!

Aż zjechał raz od polskiej strony rycerz. Jasne włosy spadały mu w splotach, ujętych w złotą siatkę, na ramiona. Błękitne oczy patrzyły jasno i szczerze.

Podobał się ów polski rycerz księżniczce. Zwycięzał wszystkich rówieśników na turniejach, uśmiech miał miły, serdeczny, poczciwy. Nawet zwyciężeni rycerze nie żywili doń niechęci.

A jednak nie odwołała księżniczka swego postanowienia. Z przestachem patrzyła, jak dzielny młodzian dosiadł swego konia i ruszył na objazd zamku.

Widziała, jak jechał wyprostowany, piękny, spokojny. Kopyta końskie ślizgały się po skałach, każdy krok groził upadkiem w przepaść i śmiercią.

Blada, wystraszonym wzrokiem śledziła księżniczka ruchy konia patrząc z okna wysokiej zamkowej baszty. Serce jej uderzało głośno w piersi.

Aż zagrzmiały tryumfalnie trąby złote na dziedzińcu zamkowym. Obwieściły zwycięstwo.

Młody polski rycerz wjeżdżał na zamek.

Wyległo wszystko na podwórze. Z komnat swoich wyszedł ubrany w czerwień i złotogłów promieniejący szczęściem książę Bolko Piastowicz, otoczony tłumem dworzan. Z bijącym sercem schodziła dumna księżniczka z baszty zamkowej na spotkanie zwycięzcy.

A on stał cichy, spokojny, poważny. Skinął ręką na znak, że chce mówić, i uciszyło się wszystko.

— Dopełniłem życzenia twego, księżniczko — rzekł — lecz po rękę twoją dłoni nie wyciągnę. Dzieli nas mnóstwo ofiar twego kaprysu, wielka liczba młodych i dzielnych rycerzy, których zgubiłaś.

Założnie zagrzmiały trąby złote na pożegnanie i rycerz odjechał. Zrozpaczona księżniczka Kunegunda długo tułała się po pustych pokojach w świetnym zamku Chojnasty. Patrzyła z rozpaczą w dal, gdzie znikł piękny orszak dzielnego polskiego rycerza. Wieczorem długo i tęsknie szumiały konary sosen okalających górę zamkową, jakież jęki słyszano o północy płynące z głębokich przepaści.

Aż dnia któregoś, nie mogąc stłumić w sobie tęsknoty i żalu, rzuciła się piękna księżniczka w przepaść i zginęła.

Pozostała po niej tylko legenda; legenda o jej złym sercu, którą opowiadają wnuczkom babcie Dolnego Śląska w jesienne długie wieczory, gdy za oknami zawodzi jesienny wicher i niesie od zamku Chojnasty opowieści o dawno minionych dziejach.

HENRYK KODŹ



WŚRÓD OLCH

Cichusieńka zima,
poła, lasy w śniegu...
a wśród olch nad rzeczką
ruch, wesoły świergot.

Zbiegły się czyżyki
i w ciągłych pogwarkach
z olchowych szyszczek
wyluskują ziarnka.

Pracują, szczebioczą,
odpoczywać nie chcą.
— A to zuchy! — z sosny
chwali ptaszki dzieciół.

Tuk-puk — i z ukosa
patrzy w stronę rzeczki
na zielone kurtki
i czarne czapeczki.

M. CZERKAWSKA

Makówkowy teatrzyk

Makówkowy teatrzyk — jest tu na co popatrzeć! Makówkowa rodzina przedstawienie zaczyna.

Jest tata Mak wąsaty i mama w chustce w kwiaty, i córeczki w sukienkach: duża,

mała,
maleńka.

Makówkowa rodzina właśnie taniec zaczyna. Już tata, Mak z wąsami, macha w górze rękami i kłania się, i śpiewa, jak to się mak zasiewa. Do rodziny mówi tak: — Razem ze mną siejcie mak!

Siejcie mak razem z tatą, mama w chusteczce w kwiaty i córeczki w sukienkach: duża,

mała,
maleńka.

Kończy się przedstawienie. Słuchamy zapatrzeni... Jest cisza, spokój taki, jakby kto posiał makiem.

HELENA BECHLER



S Z P I T A L D L A P T A S Z K Ó W

W końcu lutego i w marcu pogoda często robi niespodzianki. Jednego dnia jest ciepło i słonecznie, a drugiego zawieje zimny wiatr i zaczyna padać śnieg.

Biedne są wtedy ptaki, które wcześniej powróciły z ciepłych krajów. Grozi im śmierć z zimna i głodu.

Więc dzieci założyły w ubiegłym roku „szpital” dla zmarzniętych i chorych ptaków. Pierwszymi pacjentami były chore jerzyki znalezione przez Martę i Jadzię w szkolnym ogrodzie.

Dzieci osuszyły jerzykom zmoknięte skrzydła. Karmiły je i opiekowały się nimi aż do chwili, kiedy zrobiło się naprawdę ciepło. Wówczas nastąpiło pożegnanie skrzydlatych pacjentów.

W tym roku ptasi szpital znów jest czynny.



ria — znaleźć ją można na Mazurach, niedaleko Giżycka.

Wyspy Azory leżą daleko od nas na Oceanie Atlantycznym. Ale miejscowość o tej nazwie spotykamy i w Polsce, w pobliżu Kutna.

☆

W wielu krajach, a między innymi i w Polsce istnieją „kliniki”, w których poddaje się kuracji leczniczej i „odmładzającej” cenne rękopisy, dawne dokumenty i stare księgi. U nas taka klinika istnieje w Warszawie i nosi nazwę: Pracownia Konserwacji Grafiki i Książki Zabytkowej.

Zanim książka zostanie poddana kuracji, specjaliści muszą ją prześwietlić, aby stwierdzić zarówno stopień jej zniszczenia, jak i zbadać dokładnie, jakiego rodzaju użyto papieru, z czego wykonano oprawę itp. Potem książkę rozбира się na części i przy pomocy skomplikowanych zabiegów poszczególne karty i okładki oczyszcza się z plam, brudu i pasożytujących tam owadów. Przeprowadza się dezynfekcję książki, kapie się jej karty w wodzie destylowanej i wzmacnia zastrzykami specjalnego płynu. Na koniec wygładza się je pod prasą i uzupełnia specjalnie dobranym papierem lub skórą, jeśli książka była pisana na pergaminie. Odnowioną książkę ponownie się oprawia i kuracja zostaje zakończona.

UWAGA! KONKURS Z NAGRODAMI

W krótkim opowiadaniu ukryte są nazwy dosyć znanych miast polskich. Trzeba tylko uważnie przeczytać opowiadanie i wyszukać ukryte nazwy. Potem szybko napisać odnalezioną nazwę napisać je na kartce, podać swój adres i przesłać do redakcji „Rodziny”, Warszawa, ul. Wilcza 31, z dopiskiem na kopercie „Konkurs dla dzieci”. Za dobre odpowiedzi zostaną przyznane nagrody książkowe.

Była środa. Słońce pochyliło się nisko, prawie dotykało dąbrowy. Stanęliśmy obok glogów, które obrastały brzeg rzeki. Nagle rozległ się tętent, a potem rżenie końskie. Po chwili koło nas przebiegło spłoszone koźle. Widocznie ktoś je przestraszył. Teraz dopiero dostrzegliśmy człowieka. Stał nad rzeką z piłą na ramieniu.

Przemyśl dobrze to opowiadanie i odszukaj ukryte nazwy miast polskich.



Która droga zaprowadzi dzieci do szkoły?

Już przedwiośnie za pasem

Dziwna to pora to „przedwiośnie”! Można powiedzieć, że życie przycichło na zimę, śpi już tylko „na jedno oko”. Już różne zuchy na przekór mrozom i śniegom zrywają się do życia. Już kwitną rośliny, których swatem jest wiatr, a nie owady. Kto nie wierzy, niech sprawdzi, czy z leszczynowych „bazi” sypie się już żółty pyłek! W nocy jeszcze ostre mrozy ścisnąją ziemię, za dnia śmieje się w słońcu lazurowe niebo, zupełnie niepodobne do grudniowego! Jest w nim zapowiedź budzącego się życia. Dnia przybywa.

JAK ROSLINY ZIMUJĄ?

Rośliny wkrótce obudzą się do nowego życia na wiosnę.

Wiele z nich wydało nasiona i uschło zupełnie, ale nasiona żyją. W każdym nasionku żyje malutki zarodek nowej roślinki i mieści się zapas pokarmu dla niej.

Może nie wierzycie, że nasiona żyją?

A dlaczego przegarnia się „szufłuje” ziarna zbóż w spichrzach? — Żeby się nie „zagrzały”, a „grzeją się”, bo oddychają.

Oddychają — więc żyją.

Inne rośliny utraciły liście i lodygi nadziemne, ale części podziemne, napełnione od zapasów pokarmu, przykryte ziemią i śniegiem — żyją, przyczaiły się tylko... czekają ciepła, wtedy pokażą, co potrafią.

PRZEBIŚNIEG

czerpając pożywienie ze swojej podziemnej spiżarenki — cebulki — już w lutym „przebiję śnieg” i zadzwoni na przedwiośnie białym, uroczym dzwoneczkiem.

Czekają wiosny cebule, kłącza i bulwy. Ze one też żyją, możecie się łatwo przekonać obserwując kopce z bulwami ziemniaczanymi, czyli po prostu z ziemniakami.

W czasie odwilży odkrywa się przewietrzniki w kopcach, a na mróz zakrywa się je.

Bulwy ziemniaków oddychają, wytwarza się ciepło. Zbyt szczelnie przykryte w czasie lekkiej zimy, mogą „zaparować”.

ZYCIE KRZEWÓW I DRZEW

W otulonych mocnymi łuskami i zasklepionych żywicą pączkach skuliło się i przyczaiło przed zimą przyszłe bogactwo rośliny: jej liście i kwiaty.

Drzewa iglaste swoich kłujących, wytrzymałych liści — szpilek — nie utraciły.

Jedynie modrzew, którego szpilki są miękkie, bez grubej skórki, stoi nagi jak jego liściaste sąsiedzi.

Czyżby drzewa iglaste nigdy nie traciły liści?

Liście drzew iglastych żyją kilka lat. Co roku trochę igieł opada, a na to miejsce wyrastają nowe.

Tym sposobem drzewa iglaste zielenią się przez cały rok — ku naszej radości.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pani Walentyna Marciniak ze Szczecinka przytacza przykłady nietolerancji religijnej, z jaką spotyka się w swojej okolicy. Podobno niektórzy posuwają się nawet do wybijania szyb w kościołach innych wyznań... Oczywiście, że tego rodzaju wybryki zasługują na potępienie i jak najsurowsze napiętnowanie. Są one sprzeczne z etyką każdej religii i etyką ogólnoludzką. Kamieniami walczyć mogą tylko chuligani. Dziękujemy za pozdrowienia.

Pan Jan Hanusiewicz z Gliwic przedstawia się jako wróg duchowieństwa, i twierdzi, że wszyscy księża to „wyzyskiwacze”. Korespondent sądzi, że tak źle jest tylko w Polsce, że w innych krajach (np. we Francji) są księża bardziej ofiarni. Utarło się powiedzenie — w jakimś stopniu słuszne — że księża są tacy, jakie jest społeczeństwo. Nie spadają oni bowiem z księżyca, ale są owocem konkretnej gleby, którą stanowi społeczeństwo, naród, ludzkość w danej epoce. Reprezentują i zalety społeczeństwa danego okresu i jego wady, błędy, występki.

Jest rzeczą oczywistą, że od duchownych (wszystkich wyznań) wymagamy więcej niż od świeckich. Oni mają być przewodnikami duchowymi, ale miejmy wyrozumienie dla słabości. Nie każdy, mimo dobrych chęci,

zostaje bohaterem. I nie każdy Apostoł Chrystusa potrafił wytrwać w swym powołaniu. Całego listu według życzenia Korespondenta cytować nie możemy, ponieważ zawiera on wiele dość nieparlamentarnych sformułowań.

Pan J. Bańkowski z Bielawy wraca do fascynującej liczby 666 z Apokalipsy św. Jana 13, 18.

Kilkakrotnie zajmowaliśmy się na tym miejscu ową liczbą i stwierdzaliśmy, że najprawdopodobniej nie oznacza ona nikogo konkretnie, że raczej nawiązuje do starożytnej symboliki cyfrowej, według której trzy szóstki oznaczają „wcieloną niedoskonałość” czyli zło.

Przy okazji prosimy Czytelników, aby się tym nie zajmowali, bo szkoda czasu. Tyle jest pięknych kart Biblii, a życie takie krótkie! Dziękując Korespondentowi z Bielawy za pozdrowienia i życzenia, serdecznie pozdrawiamy.

Pan Henryk Zwierowicz ze Żmigrodu — wierszy nie wydrukujemy.

Panów: mgr. R. Śmigiełskiego ze Szklarskiej Poręby i M. Pytłasińskiego z Prudnika — informujemy, że w dniu 5 lipca 1966 r. Synod Kościoła Polskokatolickiego przyjął no-

we prawo kościelne, w myśl którego Kościołem kieruje Rada Kościoła z biskupem naczelnym — jako Przewodniczącym. Jest nim obecnie ks. bp. Julian Pękala.

P. Józef Żurek — Strzyżowice. Sprawa została zainteresowany administrator diecezji krakowskiej. Należy oczekiwać, iż wszelkie niedociągnięcia organizacyjne w parafii strzyżowickiej zostaną w najbliższym czasie usunięte.

P. Henryk Swierc, Zabrze. — Nikt nie pochwała wystąpienia kard. Spellmana i jego podobnych. Wystąpienia te doczekały się surowej oceny również ze strony wiernych rzymskokatolickich, dla których krytyka pod adresem tak wysokiego dostojnika była szczególnie żenująca.

Nie mamy zamiaru przeczyć, że wiele wypowiedzi Pisma św. można by odnieść do całego szeregu współczesnych przewodników duchowych, do kapłanów i w świetle tych wypowiedzi nie wyglądałoby oni lepiej niż faryzeusze. Ale nie należy spraw uogólniać, a przede wszystkim chyba nie należy szukać tylko winnych i złych i we wszystkich dopatrywać się „nieprawości”. Nie byłoby to też zgodne z Pismem św., bo „nie sądzicie...” Są i przewodnicy dobzy. Są kapłani ofiarni. Są, którzy widzą zło i je potępiają... Czy nie bardziej chrześcijański jest podejście, które nasz pisarz Gustaw Morcinek zawarł w tytule jednej ze swych książek „Ludzie są dobrzy”.

UWAGA! Czytelnicy, już wkrótce w naszym tygodniku dział porad prawnych.

Jeśli chcesz zasięgnąć porady prawnika, napisz do nas.



Poczta w Zakopanem

● ○ listach wieszonych dylizansem ● przesyłkach opłacanych w... centach ● i bosych listonoszach ●

Poczta polska na Podhalu, a szczególnie w Zakopanem ma swoją historię, która skrzętnie została odnotowana w zapiskach kronikarskich, zgromadzonych obecnie przez Muzeum Tatrzańskie. Właśnie z nich dowiadujemy się m. in. że w roku 1819 dobra szaflarskie nad Białym Dunajem kupił Tomasz Uznański. W tym czasie wysyłał on listy posłańcom do Jordana, gdzie była stacja pocztowa dla dylizansów. Aktem z dnia 19 maja 1868 roku Inspektorat Telegraficzny we Lwowie chce zaprowadzić linię telegraficzną z Czorsztynem przez Nowy Targ, Jordanów, Żywiec do Jabłonki, o ile... zainteresowani zgodzą się — głosi akt „dać opłat i lokal urzędnikowi, to powstanie stacja w Nowym Targu”.

Magistrat nowotarski zadeklarował na trzy lata drzewo opałowe. Ponie-

waż fundusze były jeszcze zbyt skromne, skierowano apel do Edwarda Homolasa, właściciela dóbr w Zakopanem o „datek i opał”. Homolasec deklaruje rocznie datek na mieszkanie urzędnika 10 zł. austriackich przez okres 5 lat. Mimo to w początkach lat siedemdziesiątych poczta w Zakopanem nie została uruchomiona. Wszystkie sprawy z zakresu działania poczty załatwiano w Nowym Targu. Goście sezonowi organizowali stałą komunikację z Nowym Targiem utrzymując posłańca, który co drugi dzień tam chodzi. W 1882 roku założono urząd telegraficzny i ten termin przyjmuje się za datę uruchomienia pierwszej placówki pocztowej w Zakopanem. Urząd pocztowy zlokalizowany został w Kuźnicach u właściciela Fingera w willi „Adasiówka”. Naczelnikiem poczty był Gustaw Finger. Stanowisko — listonosz było słowem ob-

cym, ale właśnie w tym czasie pojawili się pierwsi roznosiciele listów, gazet i pakunków, którzy „urzędowali” w zależności od przyjazdu wózka pocztowego. Opłata od przyniesienia gazety jeden cent, od listu dwa centy. Kto odbierał więcej korespondencji umawiał się z listonoszem o doręczenie poczty za hurtową zapłatą.

Działalność poczty, występujące w tym okresie trudności, najlepiej obrazują notatki, ukazujące się w ówczesnych pismach i wydawnictwach.

„Nowa Reforma” w numerze 195 z roku 1902 zawiadamia, że: „urząd pocztowy zamierza urządzić telefoniczne połączenie Zakopane — Morskie Oko. Wzywa się właścicieli domów, instytucji itd do zaprowadzenia u siebie telefonów, gdyż tylko wtedy zamiar będzie zrealizowany.”

W kilka miesięcy później ukazuje się notatka w „Przeglądzie Zakopiańskim”: „kończy się dzierżawa obecnego, obrzydliwego lokalu. Jeżeli nie będzie nowego pomieszczenia, poczta nadal pozostanie tam na kilka lat. Rozeszła się pogłoska, że właściciel dóbr zakopiańskich, Zamoyski zamierza zbudować naprzeciw hotelu Morskie Oko dom spółki handlowej propinacji i poczty”

Jakże ciekawe, a zarazem różnorodne były opinie o Zakopanem w latach 1873—1890. Jeden z korespondentów zagranicznej gazety Ferdynand Honsic informuje: „Poczta mieściła się w parterowym domu na Krupówkach, a listy i telegramy roznosił Kuba Gąsiennica, który o ile zawsze chodził bosy, o tyle nie umiał czytać. Ła two sobie wyobrazić jak mu ta praca szła. Mimo to nikt nie skarżył się na nieregularny odbiór listów i gazet.

podobnie jak nikt nie skarżył się na brak porządnej drogi w całym Zakopanem, lub na egipskie ciemności, nierozjaśnione ani jedną latarnią.” A Stanisław Witkiewicz pisze w swojej książce „Na przełęczy”: „...maly góralik służy za listonosza i mało sobie robi z tęsknych oczekiwań gości na listy. To roznosicielstwo jest dla niego zabawą. Chodzi po drogach, lasach i dla rozrywki wywija torbę ciesząc się z tego stada listów wizacyj i kart pocztowych, które fruwają około kapelusza jego. Stąd też jednym z przedmiotów rozmów w Zakopanem było narzekanie na nieporządek poczty w Galicji.”

Przed I wojną światową naczelnikiem Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego Zakopane i był Włodzimierz Tchórzewski. W tym czasie jest już 6 rejonów, a listonoszami są przeważnie wysłużeni podoficerowie austriaccy, jak: Kardasiewicz, Zarębski. Chodzili oni w mundurach pocztowców, w białych rękawiczkach z szablą. Z chwilą rozrastania się miasta jako u zdrowiska przyjęto więcej listonoszy do obsługi.

Wypada przypomnieć, iż poczta i w tym czasie odgrywała poważną rolę w życiu społeczno-politycznym. To właśnie za pośrednictwem poczty w Poroninie, gdzie naczelnikiem był Tadeusz Radkiewicz, W. I. Lenin w latach 1913—1915 kontaktował się ze światem. T. Radkiewicz pracował wraz z żoną w poronimskim urzędzie, w którym Lenin był codziennym klientem. Wspomnienia T. Radkiewicza — zmarłego przed 4 laty w wieku 83 lat — były przyczynkiem do badań historycznych nad pobytem Lenina na Podhalu.

L. K.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumerate na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100021. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 7\$, 19,70 DM, 23,40 NF, 1,13,6 L; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7\$; dla Australii 2,10,5 LA, 20,4 LE). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Instytutu Wydawniczego „Odrodzenie”: PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.

Zakłady Wkłęśdrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. T-34. Zam. 141.



KNYSZYN



Są miasta, błyszczące od wieków świetnością, nienaruszone, całe, ustabilizowane. Są takie, których zwykły turysta czy podróżny, nie odróżni od wsi lub zapadłej osady, zatrzymane w rozwoju lub wręcz cofnięte. Ot, zwykła dziura — powie ktoś, zabita deskami. A ileż to właśnie takich „dziur” kryją w swych ruinach fragmenty murów czy baszty — swą bogatą przeszłość. Takim jest liczący 2,5 tys. mieszkańców — Knyszyn, o powierzchni 31,48 km kw., leżący w pobliżu linii kolejowej Białystok, Grajewo, Elk. Okupant zniszczył to miasto w 80 proc. Dziś jest tu Szkoła Podstawowa, Liceum i... to wszystko.

Dzieje miasteczka sięgają początku XVI wieku, kiedy kanclerz litewski Mikołaj Radziwiłł prowadził tu akcję osadniczą. W pobliżu stał radziwiłłowski dwór, budowany przez Księcia Witolda. Syn Mikołaja, Mikołaj Radziwiłł, biskup żmudzki, zapisał dobra knyszyńskie królewiczowi Zygmuntovi Augustowi. Za królowej Bony w r. 1536 powstało w pobliżu dworu miasteczko. Pierwszymi budowlami były: kościół, szpitalik i cerkiew. W rok później Knyszyn miał już burmistrza i sądy miejskie. Zygmunt August zamilowany myśliwy, założył tu swą ulubioną rezydencję, a w 1568 r. nadał miastu prawa miejskie oraz przywileje na 4 jarmarki rocznie i jeden targ tygodniowo. Architekt Hiob Breftus, z polecenia króla Zygmunta Augusta wybudował nowy dwór, założył zwierzyńiec i ogrody. Tu w r. 1572 zmarł Zygmunt August, a miasteczko po jego śmierci na skutek nowego podziału administracyjnego stało się centralnym ośrodkiem dóbr królewskich, co wpłynęło na jego rozwój.

W 1580 r. Knyszyn miał 492 domy, 6 szweców, 4 kowali, 3 zdunów, 2 czapników, 15 przekupek. W r. 1619 pracowało już 149 rzemieślników. Wojna szwedzka zniszczyła i wyludniła miasto. Od r. 1663 Knyszyn był w rękach Orsettich — kupców pochodzenia włoskiego, rządili nim także Polacy: Gnińscy, Czapscy i Radziwiłłowie. Właścicielem Knyszyna przez pewien okres był poeta Zygmunt Krasiński.

W XIX wieku zawiązała się tu spółka tkaczy, tak zwane „Towarzystwo cechu tkaczy”. W 1902 roku miasto wzrosło aż do 5487 mieszkańców.

Wojna światowa zniszczyła Knyszyn ponownie. W późniejszych latach, miasteczko pełniło funkcję lokalnego ośrodka handlowego.

Dzisiaj godnym uwagi zabytkiem jest pałac Denhofa, zbudowany w r. 1634. (J. Ch.)



Wiele zabytków z okresu baroku i renesansu (1 i 2). Fot. CAF

Renesansowy pałac Denhofa w Knyszynie (3) Fot. CAF

Częściej niż samochód spotkać można ciągnącego wóz konia (4) Fot. J. Kreczmański

Dachy kryte słomą — wieś a jednak miasto (5). Fot. Archiwum